

TYGODNIK ILLUSTROWANY



CYMBARKA MAZOWIECKA.

POSĄG SPIŻOWY WITA STWOSZA W INSBROKU. GOTYK, OKOŁO ROKU 1506.

SZYMON ASKENAZY:

Apetyty pruskie.

Było to w r. 1813. Rosya, odbiwszy wyprawę moskiewską Napoleona, w ślad za zdziesiątkowaną Wielką Armią francuską pchnęła wojska swoje ku Zachodowi i zajęła niemi nasampierw całe Księstwo Warszawskie. Było ono wtedy niewątpliwie zdobyczą wojenną rosyjską. Ważyła się wprawdzie dopiero sprawa arcydoniosła: co się z Księstwem stanie, czy będzie ono pochłonięte, zdeptane, rzucone na pastwę nienawiści i dzikości, poddane wcieleniu i konfiskatom, czy też będzie obrócone na podwalinę jedynie zdrowej koncepcji politycznej, Królestwa Polskiego przy Rosyi? Ale tyle nie ulegało wątpliwości, że Księstwo było w tej chwili wyłącznie w ręku samej Rosyi, okupowane przez armię rosyjską, rządzone z Warszawy przez ustanowiony tam z ramienia Aleksandra I Rząd Tymczasowy oraz generał-gubernatora rosyjskiego. Tam to sprawa przyszłych losów kraju ważyła się właściwie między Rosyą a Polską. Owóż do tej sprawy odrazu wchodziły Prusy.

Prusy, zdawałoby się, w owej chwili żadnego zgoła nie miały realnego ani moralnego tytułu do jakichkolwiek uroszczeń zdobywczych. Wczora dopiero złamane przez Napoleona, były się z nim sprzymierzyły i pospołu z nim ruszyły na Rosyę. Były politycznie, materialnie, militarnie zrujnowane i skompromitowane ze szczerem, były niczem. Straciły wszystko: objętość terytoryalną i ludnościową, równowagę skarbową, zbrojność, tradycję sławy Fryderykowej, tradycję przyjaźni rosyjskiej,—lecz zachowały rzecz jedną: apetyt zdobywczy i to szczególnie na ziemi polskiej. Wstając dopiero co z nicości, dopiero co otrząsając się ze swojej roli sojusznika Napoleona przeciw Rosyi i przechodząc do roli sojusznika Rosyi przeciw Napoleonowi, w tem samym mgnieniu już wyciągały długie ręce po ziemię warszawską, będącą w niewątpliwym Rosyi posiadaniu. A czyniły to z natręctwem, butą, bezceremonialnością, poprostu nadzwyczajną, uderzającą nie tylko Polaków, lecz wprawiającą w zdumienie nawet miejscowe władze rosyjskie. Żywe, kapitalne wcielenie tych rozbudzonych tak nagle apetytów pruskich, obok wielu świadectw pokrewnych, stanowi pan szambelan von Troschke i jego ówczesne przeprawy.

W początku października 1813 r. naczelnik oblasny departamentu bydgoskiego, radca kolegiálny Merder, doniósł generał-gubernatorowi warszawskiemu, senatorowi Łanskojowi, iż w departamencie pojawił się jakiś pruski szambelan i baron v. Troschke, który objeżdża kraj, wydaje proklamacye, zbiera broń i rekruta dla rządu pruskiego, wprowadza komendy pruskie, rekrutujące prowiant i ludzi, słowem, pod nosem władz cywilnych i wojskowych rosyjskich gospodaruje całkiem jak u siebie. Do raportu dołączone były dowody. A więc odpis paszportu, wydanego owemu Troschkemu przez kanclerza pruskiego, ks. Hardenberga, gdzie

mieściło się upoważnienie do zbierania w Księstwie Warszawskim „wszelkiego rodzaju broni i montur, jakoteż młodych ludzi zdatnych do służby wojskowej”. A więc skargi obywateli polskich, napadniętych w swoich dworach przez oddziały pruskie, dopełniające czynności rekwizycyjnych. A więc wreszcie drukowaną proklamacyę w języku niemieckim, obwieszczającą, iż „Ja, Karol-Antoni-Ferdynand baron cesarstwa (*Reichsfreiherr*) von Troschke, oberoficer armii pruskiej i rzeczywisty szambelan Króla JM. pruskiego, właściciel Orła Czerwonego i innych orderów”, wzywa wszelakich mieszkańców Księstwa Warszawskiego do zaciągnięcia się do szeregów pruskich oraz do dobrowolnych dostarczeń w naturze lub gotowiźnie na rzecz rządu pruskiego. Wszystko to chyba dość było niezwykłym. Niezwykłym był *toupet* niewiadomego zagranicznego wysłańca, operującego w ten sposób w cudzym kraju. Zanim jednak jeszcze nadeszła do Warszawy powyższa relacya oszołomionego naczelnika departamentu bydgoskiego, dzielny szambelan pruski już zdążył przenieść pole swej działalności do sąsiedniego departamentu poznańskiego.

Objechawszy nasampierw pomniejsze miasteczka i kolonie niemieckie w tym departamencie i poczyniwszy wszędzie stosowne imieniem rządu pruskiego zarządzenia, v. Troschke przybył do Poznania. Tu zgłosił się do miejscowego komendanta rosyjskiego, pułkownika Bułgarina, oraz do oblasnego naczelnika departamentu poznańskiego, radcy kolegiálnego Mikłaszewicza, przedstawił się jako „generał i minister pruski”, oświadczył, iż ma upoważnienie piśmienne od cesarza Aleksandra I i wodza naczelnego armii rosyjskich, Barclaya de Tolly, zażądał dla siebie koni i odwachu honorowego z 30 żołnierzy rosyjskich przed swoją kwaterą. Zaczął rozdawać swoje proklamacye, zbierać składki, broń i ochotników, wzywać do siebie mieszkańców miasta i okolicy. Między innymi, wezwał też do siebie podrabina synagogi poznańskiej, Michała-Jakóba Peyzera, miał z nim wcale charakterystyczną rozmowę, zaprotokółowaną następnie w zeznaniu Peyzera przed zastępcą prefekta poznańskiego, Moszczeńskim, wygrażał Żydom poznańskim za ich zachowanie się wobec władz polskich i rosyjskich, krzyczał, że „Żydzi winni temu, iż tutejsza ulica, dawniej Wilhelmowską zwana, nosi nazwisko ulicy Napoleona”, kazał podrabinowi przełożyć swoją proklamacyę starszym Kahału poznańskiego i skłonić gminę żydowską poznańską do posług dla rządu pruskiego. Oblasny naczelnik i komendant, zaniepokojeni tą gospodarką samowolną Troschkego w powierzono

nem im mieście, wezwali go do siebie, celem zażądania od niego wyjaśnień. Okazało się wtedy, że Troschke owych upoważnień Aleksandra i Barclaya, na jakie się powoływał, przedstawić nie mógł; tłumaczył się, iż je spalił. Okazało się również, że swoje proklamacye, datowane rzekomo z Prus, kazał on potajemnie wydrukować w liczbie 300 egzemplarzy w drukarni poznańskiej Deckera, z fałszywym miejscem datowania. Wobec tego władze rosyjskie uznały za konieczne opieczetować papiery Troschkego i wyprawić go pod eskortą do Warszawy do dyspozycyi generał-gubernatora Łanskoja. Ale Prusak nie stracił bynajmniej kontenansu. Oświadczył on komendantowi Bułgarinowi, iż on „nie zna służby”, a naczelnikowi Mikłaszewiczowi rzekł, „uderzając po swojej szpadzie, iż on nie potrzebuje służyć się władzy rosyjskiej”, chciał też pierwotnie siłą sprzeciwić się opieczetowaniu papierów swoich. Z największą też trudnością czynność ta została dokonana i sam Troschke wraz z papierami odesłany do Warszawy. „Gdybym go nie wysłał do W. Ekscelencyi—pisał z tego powodu strapiiony Mikłaszewicz do Łanskoja—nie byłoby prawie sposobu pomiarkować (*uniał*) go, ... gdyż osobiście tak jest bezczelny (*liczno tak dierzok*).

W Warszawie zaczęły się nowe kłopoty z Troschkem. Po bliższem zbadaniu rzeczy okazało się, że był on istotnie baronem, szambelanem, bogatym obywatelem śląskim, który z własnej ochoty, a za cichą zgodą kanclerza pruskiego, podjął się owej drażliwej misyi rekognoskującej i rekrutującej na ziemiach polskich. Wobec Łanskoja stawiał się równie hardo, jak wobec jego podwładnych, żądał „wolnej kwatery stosownej do mojej rangi”, podwód na 14 koni, natychmiastowego wydania sobie paszportu i pozwolenia na wyjazd, groził skargami przed swoim królem, a nawet przed cesarzem Aleksandrem za swoje zatrzymanie i t. d. Łanskoj widział się z nim osobiście i odrazu rozpoznał w nim nieuprawnionego, samozwańczego obcego agenta, a jednak obchodził się z nim z całą delikatnością, aczkolwiek—jak donosił generał-gubernator w ostrożnych słowach zarządzającemu Kancelaryą cesarską, wszechwładnemu Arakczejewowi, którego stosunki pruskie były znane—„z rozmów moich z p. Troschke ani też z papierów, przez niego okazywanych, niczego zasadnego (*osnowatelnawo*) wymiarkować nie mogłem”. Zaczęły się też wnet do generał-gubernatora warszawskiego sypać wpływe wstawiennictwa za znacnym v. Troschkem, przychodziły reklamujące go pisma od gubernatora wojennego wrocławskiego, generała v. Gaudy, od gubernatora prowincyi śląskiej Merckla, wreszcie przyszło pismo od Arakczejewa, zalecające względność dla dobrze myślącego i dobrze urodzonego Prusaka. Skończyło się na tem, że wszystkie sprawki Troschkego zostały pущzone w niepamięć, a sam on tryumfalnie opuścił Warszawę.

Tak działo się w r. 1813. Czy dzisiaj, po minionych stu latach, te rzeczy zasadniczej uległy odmianie, o tem raczej powątpiewaćby można.





ARTUR, KRÓL ANGIELSKI.

DZIEŁO WITA STWOSZA, WYKONANE NA ZAMÓWIENIE
CESARZA MAKSYMILIANA W R. 1514.

ELEONORA PORTUGALSKA.

DZIEŁO WITA STWOSZA (RENEANS), WYKONANE W R. 1514.

ANNA KŁOPOTOWSKA.

„TU TWAM ASI!”

Z CYKLU „MIŁOŚCI POETY”.
(„Mniej byłoby więcej”,
aforyzm induski).

I.

Jam jest Perłę Poławiacz! zgłębiłem głębiny
Bezdni świata—i w serca wdarłem się
muszlowe—
Lecz otom puste szumy pozbierał ehowe
I zwolna ją zapadać w zwątpienia nurt siny...

Dziś mam perłę: Twą duszę—chwytam skarb
bezcenny
I mknę z nim po dróg mlecznych
gwieździstym rozłogu,
Gdzie wolnych duchów droga, przestwór
czarem plenny—
A nie dam jej nikomu—nigdy!... chyba Bogu!!

Oto lecim po pragnień ukojonych szlaku,
Na tęsknot uśmiechnionych złocistym rumaku,
Jak wiatr—by na czas wrócić przed kochania
świtem!...

Jeśli smutna... spromienię ją gwiazd spadłych
rojem—
Zamiera...! życiem własnem wskrzeszę ją
przebojem—
Łaknie... to ją nakarmię słońcem i błękitem!

II.

Takeś mi blizka—choć wiecznie daleka!
Takeś mi droga—choć nigdy nie moja!
Że chyba kiedyś, przed wiekami wieka,
Piliśmy razem u wieczności zdroja!

Takeś mi święta—choć w ludzkiej szacie!
Takeś mi jasna wpośród chmur pomroku!
Takeś mi boska na tym ziemi płacie!
Takeś mi czysta, jak łza szczęścia w oku!!

Więc, chociaż ust twych nie musnę ustami
I zdala gonić będę jeno snami—
Choć stleję w wspomnień gorących popiele—
Przecież, gdy duszę twą wchłonałem
w siebie,
Żadne mi szczęście na ziemi, ni w niebie,
Aż znów Wieczności z tobą nie podzielę.



III.

Kocham was! jak błysk słońca, w dwie
tęcze rozbity,
Jak ros kroplę, co w kwiatu kielichach
osiada,
Jak gwiazdę, co w dwóch falach sąsiednich
przepada,
Jak dwa śnieżne—błękitne—w jedno złane
szczyty!

Kocham! jak jedną duszę, w dwa ciała ujętą!
Jak w dwóch posągach jedno o pięknie
marzenie,
I jak we dwóch snach szczęścia jednego
prześnienie,
Chcę, by ta miłość była daleką i świętą!...

O, nie każcie mi dzielić jedności i cudu,
I świętokradzką dłońią dotykać się zblizka,
By miłości namiętność nie zabiła nizka...

I nie szcędźcie mi marzeń nadaremnych
trudu,
Lecz mnie karmcie nadziei manną
niepowszedną,
Że jest świat, gdzie my troje staniemy się
jedno!...

LUDWIK STASIAK:

VISCHER CZY STWOSZ?

POSAGI STWOSZA W INSBROKU.

Zebrałiśmy wszystkie istniejące źródła, które mówią o Piotrze Vischerze, zgrupowaliśmy cały materiał, który cokolwiek jest nam w stanie powiedzieć o zajęciach jego i jego pięciu synów, i przedstawiliśmy, że w tychże źródłach historycznych niema ani jednej wzmianki, jakoby Piotr Vischer był rzeźbiarzem, jakoby którykolwiek z jego synów był twórczym artystą. W rozporządzeniach norymberskiej rady miejskiej (*Nürnberger Ratsverlässe*), po raz pierwszy w Polsce przez nas w oryginalnym brzmieniu produkowanych, jest 41 wzmianek o wyżej wzmiankowanych Vischerach, ani jedna zaś wzmianka nie nazywa Vischerów rzeźbiarzami, ni twórczymi artystami, każda zaś wzmianka mianuje ich kowalami, nożownikami (*messerer*) i kotlarzami. Szczególniejszej wagi są pamiętniki Neudörfera, który Stwosza i Vischerów osobiście znał. Ten pamiętnikarz ma słabość do opisywania zajęć ludzi, których żywoty pisze, z największą drobiazgowością wyliczając talenty, czynności opisywanych artystów i rzemieślników. Wylicza najdokładniej, czem się zajmuje Stwosz, Dürrer, Behaim, Krafft, Krug, Flötner etc., wszystkie zajęcia Vischerów szczegółowo wylicza, wśród tych zajęć zaś niemasz jednego słowa wiadomości, jakoby którykolwiek Vischer rzeźbiarstwem się trudnił, lub był twórczym artystą. Neudörfer zna tylko kowali, kotlarzy, fabrykantów krat Vischerów.*)

W źródłach dziejowych ma znakomite poparcie artystyczna analiza pseudovischerowskiej odlewniczej spuścizny. Niemasz jednego, literalnie jednego dzieła, w któremby *niemiecku* historia sztuki obcego wpływu, obcej artystycznej ręki nie widziała, rzekome dzieła Vischera to utwory Stwosza, Jacopa de Barbari, Katzheimerera, Dürerera, Riemenschneidera, Hansa Suessa z Kulmbachu, Kraffta i, jak nam *Tomiciana* wyraźnie mówi, brata Stanisława, malarza z Mogiły**). Błyskawiczne światło na tę sprawę rzucił wspomniany przez nas Neudörfer. Ten monumentalny, na-

*) Szczegółowo omawiamy tę sprawę w rzeczy p. t.: „*Legenda o Piotrze Vischerze*”. Nie wydany rękopis. Streszczenia ogłoszone we felietonach *Nowej Reformy*, *Gazety Narodowej*, *Kuryera Lwowskiego* etc.

***) Szczegóły tamże, tudzież w naszej rozprawie: *Hans Vischer i biskup Tomicki*, Kraków 1909.



LEOPOLD POBOŻNY

Rzeźba WITA STWOSZA.

oczny świadek pisze nam, że dziełem własnej ręki Piotra Vischera—*seine Handeigene Arbeit* jest studnia w dzielnicy radzieckiej, a przecie cały świat dziś widzi, że owa studnia, ów Apollo, strzelający z łuku, jest również kopią rysunku — Jacopa de Barbari.

Przekonanie, że Piotr Vischer nie jest autorem przypisywanych mu dzieł, że on nie jest autorem tych dzieł, na których jest podpisany, trwało i królowało w Niemczech do ostatnich prawie lat. Najpoważniejsi niemieccy historycy sztuki albo, jak Heideloff, tegoż autorstwa Vischerowi wręcz odmawiali, albo, jak Bergan, o wykonywanie cudzych dzieł Vischera oskarżali.

Tymczasem nadeszła era wybijania w Niemczech najskrajniejszego nacjonalizmu. Na gruncie rozwydrzonego szowinizmu zrodziła się nowożytna, szowinistyczna nauka. Ta restytuowała pamięć artysty Piotra Vischera, ta uczyniła niesłychane wysiłki, aby z rzemieślnika Vischera zrobić rzeźbiarza Vischera. *Ein Unrecht war an Peter Vischer wieder gut zu machen!* trzeba naprawić krzywdę, wyrządzoną Piotrowi Vischerowi — woła monografista vischerowski, p. Berthold Daun, temi słowami monografię vischerowską zaczynając. „Odkrył” p. Daun, jak sam mówi, kilka znakomitych dzieł Piotra Vischera w Krakowie*), Dr. Wilhelm Lübke udał się do Insbruku i tu „rozpoznał”, *er hat vermuthet*, że posągi króla Teodoryka i króla Artura to są dzieła Piotra Vischera. I owo „*Vermuthung*” Lübkego to jedyny, literalnie jedyny dowód, że dwa insbruckie arcydzieła to twory niemieckiej kultury.

* * *

Piotr Vischer nie jest autorem żadnego z posągów w Insbruku. Istnieje wprawdzie źródłowa wzmianka, że cesarz Maksymilian płaci Vischerowi za *zwei messene bilder*, ponieważ jednak Vischer rzeźbiarzem nie był, mowa tu być może tylko o posągach, odlanych dla cesarza według modelu innego rzeźbiarza. Cesarz płaci za czynność odlania, a nie rzeźbienia posągów. Natomiast posiadamy źródłowe dowody i dokumenty, że Wit Stwosz jest autorem najwybitniejszych dzieł, jakie grób cesarski w Insbruku stroją.

* * *

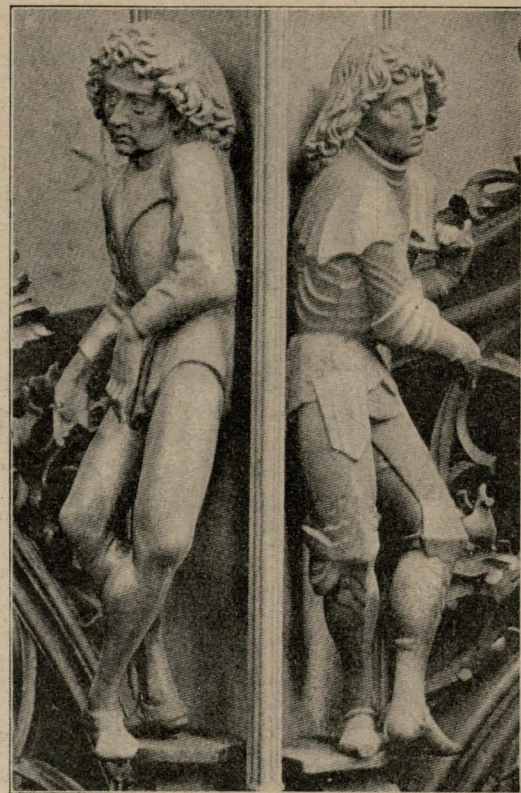
Cesarz Maksymilian postanowił za życia postawić sobie w Insbruku wspólny grób. Mauzoleum to miało stroić 40 spiżowych, złożonych posągów. Projekty na grób robiono już wnet po r. 1500. Posągi odlewano przed śmiercią cesarza, nawet po śmierci cesarza. Podczas najgorętszej pracy nad grobem cesarskim zjawia się pięć rozporządzeń norymberskiej rady miejskiej, do dziś dnia nikomu w Polsce nieznanych, które tu w dosłownym tłumaczeniu ogłaszamy:

„11 lipca 1514. Do zaprzysiężonych rotgisarzy, a także do tych dwóch, którzy mistrzowi Witowi Stwoszowi nie chcieli pomóc w odlewarciu, posłać po motywie odmownej odpowiedzi i tę odpowiedź radzie przedłożyć”.

„21 lipca 1514. Prośbie Wita Stwosza, aby kilka rzeźb miedzianych dla Jego Cesarskiej Mości mógł odlać, należy odmówić, trzeba przedstawić mu odpowiedź i żałobę rotgisarzy, jakoteż postanowienie, aby tym razem pozwolili Witowi Stwoszowi zrobioną formę odlać, gdyż popadłoby inaczej w wielką niełaskę u Jego Cesarskiej Mości. A przytem należy traktować ze Stabionem i prosić, żeby się nie ze Stwoszem porozumiewał, ale z rotgisarzami”.

„24 lipca 1514. Kiedy Stwosz po pozwoleniu rady oznajmił, że przez tę zwłokę popsuka mu się forma i z tego powodu poniósł szkodę, którą to szkodę należałoby mu zwrócić, lub przez

*) Zupełną bezpodstawność tego „odkrycia” i tego rozpoznania wykazujemy w rzeczy p. t.: *Piotr Vischer nie jest autorem krakowskich, gnieźnieńskich, poznańskich i innych wielkopolskich spiżów, które dotąd za jego dzieła uchodziły*. Dodatek literacki do *Dziennika Poznańskiego* od stycznia do lipca 1909.



- Posągi rycerzy w gloryi wnętrza szafy ołtarza wielkiego w kościele Maryackim w Krakowie.

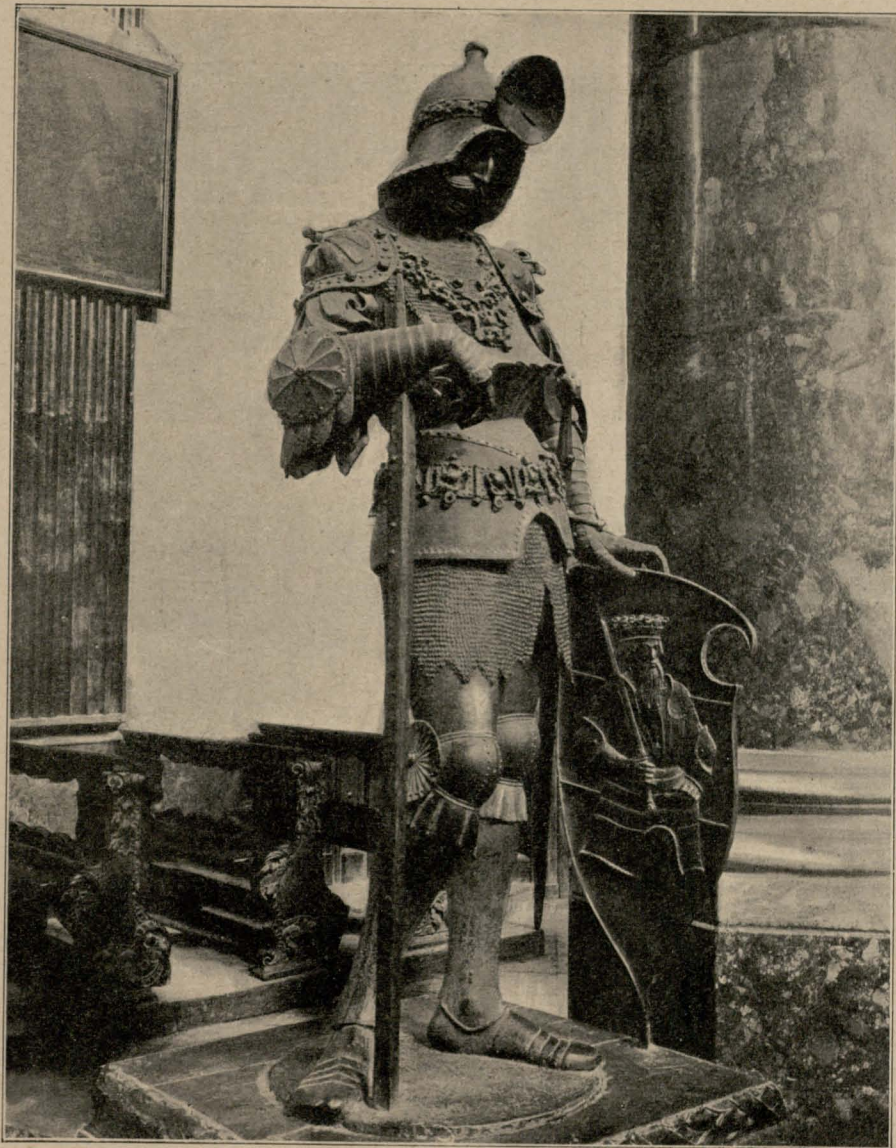
cech rotgisarzy, jako sprawców, odszkodować, należy mu powiedzieć: rada wyrazi swoje ubolewanie i niezadowolenie z jego pisma, bo, jeśli przy swojej robocie poniósł jaką stratę, to rada nie zawiniła i nic mu nie jest dłużna. A to pismo i dawniejsze jego odezwanie się, kiedy to wobec radców mówił, czy też oni wobec Cesarskiej Mości zechcieliby przyznać się do swej odmowy, rada w swoim czasie będzie miała w pamięci. Jednakże ze względu na Cesarską Mość należy mu wskazać miejsce, gdzieby mógł odlać posągi”.

„25 września 1514. Mistrzowi Witowi Stwoszowi należy oddać szopę, gdzieby mógł odlać miedzianą rzeźbę, którą wykonać zamierza”*)

Historyczny dokument mówi nam, że cesarz Maksymilian zamówił u Stwosza kilka spiżowych posągów (raz mowa o mosiężnych obrazach, potem o miedzianych). Posągów tych było kilka (*ettliche*), zatem najmniej trzy. Było cztery, pięć, może i więcej. Ponieważ Stwosz w r. 1514 już je odlewa, zatem zamówienie cesarskie należy odnosić wstecz o cały czas, którego potrzebował Stwosz, aby (zapewne z drzewa) wykonać kilka więcej niż naturalnej wielkości figur. Schodzi się to przedziwnie z zamówieniem, dokonaniem przez cesarza u Piotra Vischera. W r. 1513 płaci cesarz Vischerowi „*zwei messene pillder*”, których autor, rzeźbiarz, jest po dziś dzień niewiadomy. I Stwosz więc, i Vischer dostali zamówienie około r. 1510. Ponieważ jest rzeczą udowodnioną, że Vischer wykonał *zwei messene pillder* na grób cesarza do Insbruka, ponieważ jest rzeczą udowodnioną, że podówczas cesarz grób ten buduje, posągi na swój grób gromadzi, ponieważ zamówienie cesarza u Vischera i u Stwosza jest prawie jednoznaczne (*ettliche messene bilder i zwei messene pillder*), zatem jest rzeczą udowodnioną, że cesarz zamówił u Stwosza posągi na swój grób do Insbruka. Rozchodzić się tylko może, czy Stwosz zamówienie wykonał.

Otóż tak jest. Spójrzmy w *Nürnberger Ratsverlässe*, które Stwosz swymi procesami tak zatrudnia i zajmuje. Procesuje się nawet o wóz, przywieziony z Polski. Gdyby skutkiem zepsucia formy, czy oporu rotgisarzy, posągi były przepały, mielibyśmy skargi do cesarza, proces z rotgisarzami i proces z radą. *Ratsverlässe* milczą. Stwosz rozmaite procesy wytacza, o posągi nie wytacza. Sprawa się kończy na rozkazie: „Oddać Stwoszowi szopę na odlanie miedzianej rzeźby”. Zatem

*) *Nürnberger Ratsverlässe*, wydanie d-ra Th. Hampego Wiedeń i Lipsk 1904 str. 155, 157.



TEODORYK, KRÓL GOTÓW.
POSĄG WITA STWOSZA W INSBROKU. OKOŁO R. 1514.

Stwosz wykonał zamówienie cesarskie i posągi do Insbruka dostawił.

Stwosz dostawił posągi do Insbruka, one tam były, lecz ich niema, zginęły, przetopione zostały, zapadły? Bynajmniej. Posiadamy źródłowe wiadomości, przeczące temu przypuszczeniu. Za życia cesarza Maksymiliana spisywane były inwentarze grobowca, spisywane one były i po jego śmierci. Nie tylko czyny, dotyczące grobowca, są nam wiadome, ale zamiary czynów. Cesarz Karol V, który oddał się pod koniec życia religijnemu ascetyzmowi, zamierzał wyrzucić z kościoła w Insbruku posąg Teodoryka, króla Gotów, twierdząc, że nie godzi się, aby nie chrzczonego poganin stał z królami chrześcijańskimi w jednym szeregu. Bóg zaprawdę ochronił sztukę od wielkiej straty, a pamięć Karola V od wielkiej hańby, bo Teodoryk do dziś dnia nienaruszony w Insbruku stoi. Gdyby w późniejszym czasie któryś z posągów wyrzucono lub przelewano, to wandalskie dzieło zaczęłoby niewątpliwie od wykonania wiadomego po dziś dzień rozkazu cesarza, od wyrzucenia skazanego na zagładę poganina. Jeśli on ocalał, to wszystkie ocalały. Zresztą dość tych wywodów. *Ultima ratio*: dziś w kościele w Insbruku jest 28 posągów, inwentarz z roku 1528 mówi, że jest 28 posągów*). Zatem nie brak żadnego.

Wobec zaś tego faktu, nie ulega, jak to udowodniliśmy, wątpliwości, że Wit Stwosz na zamówienie cesarza kilka spiżowych posągów wykonał, że te posągi po dziś dzień w kościele dworskim w Insbruku się znajdują.

* * *

W żelaznych szeregach rycerzy i dam, które wewnątrz dworskiego kościoła w Insbruku stroją,

*) D. Schönherz. *Geschichte des Grabmals Maximilian I.*

szukaliśmy dokumentem historycznym stwierdzonych dzieł Stwosza, a badania nasze, artystyczną analizę naszą w osobnej monografii czytelnikowi przedstawimy*). W twierdzeniach naszych, że najwybitniejsze z tych dzieł to rzeźby Stwosza, nie jesteśmy samotni. Już Heidehoff wskazywał posągi insbruckie, jako dzieła Stwosza, już R. Bergan, powyższym źródłowym dokumentem uderzony, był zmuszony uznać kilka posągów, jako dzieła Stwosza. Bergan, co jest rzeczą w nauce niesłychaną, bez autopsji swe sądy wydaje; on na oczy posągów nie widział, z rycin swe sądy wypowiada, wydaje wyroki, *soweit ich aus Abbildung urtheilen kann***), skutkiem zaś tego błędne i bałamutne rozpoznania uczynił. Słuszność miał co do Cymbarki Mazowieckiej, mylił się co do innych. Nie

marny Klodwig, nie lichy Zygmunt Austriacki, ale, oprócz Cymbarki, Teodoryk, Artur, Eleonora i Leopold Świąty to są insbruckie dzieła Stwosza. Przedstawiamy je dziś polskiej publiczności, przedstawiamy wszechświatowe dzieło „Teodoryka”, który ma protoplastów w krakowskim Maryackim ołtarzu, gotycką Cymbarkę, wykonaną na zlecenie pełnomocnika cesarskiego Sesselschreibera wnet po roku 1500, i renesansową Eleonorę, odlaną w r. 1514. Jakże draperya tej Eleonory przypomina fakturę reliefów krakowskiego i floryańskiego dzieła, ileż ta głowa św. Leopolda ma, nie krewnych, ale identycznych typów w reliefach krakowskiego Maryackiego ołtarza! Szczęśliwi jesteśmy, żeśmy polskiej publiczności na te dzieła Stwosza, na dokument, stwierdzający autentyczność tych dzieł Stwosza, pierwsi uwagę zwrócili. Podstawa naszych twierdzeń, a bezpodstawność niemieckich aneksy przedstawi się czytelnikowi jasno, gdy stosunki wydawnicze i szczegółowe wywody nasze o posągach w Insbruku ogłosić nam pozwolą.

*) *Posągi w Insbruku*. Nie wydany rękopis.

**) R. Bergan. *Stoss als Erzgiesser*. *Zeitschrift für die bildende Kunst*. Tom z r. 1878.

ZŁOTE LISTKI.

Niech wstanie pieśń!
Zdeptana i pogardzona,
Niech wstanie pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błysnie w słońcu jej korona,
Kapułańską przewita wstęgą.
Tyś jest, ty trwasz, o! potęgo!

Kornel Ujejski.

KOSA.

Napisał S. R.

W r. 1893 odwiedziłem w Paryżu kolegę Pawła Landowskiego, z którym nie widziałem się od czasów powstania styczniowego.

Osiadł on tu oddawna, a obecnie (w 1893 r.) cieszył się już rozległą praktyką ginekologiczną i ogólnym uznaniem, jako zdolny lekarz, pożyteczny człowiek i zawsze dobry patriota-Polak. Mieszkał na „rue Blanche” 36, gdzie zajmował pierwsze i drugie piętro, jak tego wymagały stosunki praktyki lekarskiej i potrzeba pomieszczenia dość licznej rodziny, pozostałej na jego opiece po rodzonym bracie Edwardzie, także lekarzu, zmarłym w Algierze. Dla tej to rodziny wyrzekł się sam związków małżeńskich, pozostając kawalerem.

Z Pawłem Landowskim w r. 1860 wstąpiliśmy jednocześnie do b. Medyko-chirurgicznej akademii, a potem w r. 1862 na wydział lekarski b. Szkoły Głównej w Warszawie.

W tych czasach łączyły nas bliższe stosunki koleżeńskie, to też po latach trzydziestu niewidzenia powitanie nasze było nader serdeczne, że jednak odwiedziłem go w godzinie przyjęć lekarskich, nie mógł mi narazie poświęcić dłuższego czasu, lecz prosił usilnie, abym nazajutrz w południe przybył do niego na śniadanie, przy którym moglibyśmy wygadać się do woli, co też uczyniłem.

Pokrótko opowiedział mi teraz losy swoje, mianowicie, jak po ucieczce przez Chiny z katangi syberyjskiej, dokąd go go w 1864 r. zesłano, dostał się do Francji, tu, w Montpellier skończył kursy lekarskie, zaś potem przeniósł się do Paryża i w nim już stale pozostał. Opowiedział też o niepomysłnych losach starszego brata Edwarda, który, ożeniwszy się z córką znakomitego skrzypka Vieuxtemps, założył sanatorium w Algierze, to wszakże nie prosperowało, w rezultacie stracił wszystko, co posiadał, i sam zmarł biedak, pozostawiając całą rodzinę w zupełnym niedostatku.

Paweł L., mimo ciężkie tarapaty życiowe, przez które w młodości przeszedł, oświadczył mi jednak w konkluzji, iż, choć rodziny własnej nie posiada, ma wszakże dziś cel życia wytknięty, opiekuje się bowiem dziećmi zmarłego brata, uważa się przytem za człowieka zadowolonego z życia i mającego być dostatni zapewniony.

Winszując mu tak pomyślnego obecnie położenia, przypomniałem, że jednak w życiu swem przebył niemało chwil strasznych... boć przecie on to kiedyś był już nawet... pod szubienicą... a jest to sytuacja tak niewesoła, iż trudno przypuścić, aby nawet obecne zadowolenie było zdolne wymazać ją z pamięci. Naturalnie, nie zaprzeczył temu i na moją prośbę chętnie natychmiast opowiedział szczegóły tego ciekawego epizodu życia swego.

Opowiadanie to bez zmiany powtarzam poniżej według własnej notatki, spisanej dla pamięci bezwzględnie po wizycie mojej u Landowskiego w Paryżu.

Nie od rzeczy wszakże będzie poprzedzić opis mój szczegółami, dotyczącymi działalności rewolucyjnej Landowskiego w latach 1862, 63 i 64, z paru źródeł historycznych zasiągniętymi, a mianowicie.

M. Berg w swych „Zapiskach o polskich spiskach i powstaniach” wspomina, iż Paweł Landowski należał chwilowo już w kwietniu 1862 r. (więc jeszcze jako student Medyko-chirurgicznej akademii) do jakiejś „Komisyi powstańczej Mierosławskiego”, do której należeli



ALARM

Epizod z 1863 r.

MAKS. GIERYMSKI

również Leon Chmurzyński, emigrant z r. 1848, i studenci Akademii medycznej warszawskiej, Franciszek Orłowski i Zdzisław Janczewski, potem do składu tej „Komisyi” wszedł jakoby na miejsce Chmurzyńskiego niejaki Julian Wyębowski...

M. P. Ustianowicz, inkwirent przy sądzie śledczym gen. Tuchołki, w swej żółcią zaprawnej broszurze „Zagowory i pokuszenie na żyźń... Gr. Berga” (1870) podaje na str. 10, jakoby Landowski i Chmieleński (Ignacy) jeszcze w r. 1862 nosili się z zamiarem otrucia p. o. Namiestnika w Królestwie Polskiem, hr. Lüdersa, że oni też obaj byli aranżerami zamachów na życie Wielkiego Księcia Konstantego, margrabiego Al. Wielopolskiego i hr. Berga, że Paweł Landowski specjalnie miał śledzić hr. Lüdersa na wodach mineralnych w Saskim Ogrodzie w Warszawie, jakoby przysiadł się do stołu, przy którym namiestnik odpoczywał, aby mu do kubka z wodą mineralną wpuścić parę kropel trucizny, a to za pomocą specjalnie w tym celu noszonej w rękawie szpryczki (str. 11).

W wyż wzmiankowanych „Zapiskach” M. Berga, w broszurze M. P. Ustianowicza i w obszernej czterotomowej pracy Z. L. S. „Ostatnie chwile powstania styczniowego” (Poznań 1888 r.) zgodnie podano, iż Paweł Landowski był naczelnikiem Straży narodowej (żandarmów i sztyletników) w Warszawie, t. j. władzy wykonawczej Rządu narodowego, i jako taki, kierował zamachem na życie hr. Berga, spełnionym w Warszawie w d. 7/19 września 1863 r., poczem schronił się chwilowo do Krakowa, lecz wkrótce powrócił do Warszawy i już pod datą 3/15 października t. r. otrzymał nominację rządu narodowego (Trauguta i innych) na dowódcę oddziału kónnego, zebrane go przez ks. Brzozkę w powiatach łukowskim

i radzymińskim. Odtąd występuje już pod pseudonimem „Kosy”.

1 stycznia 1864 r. oddział jego natknął się pod Parysowem (w Garwolińskim) na oddział kozaków kubańskich pod dowództwem wojennego „starszyny” Zambisowa, przyczem ranny Landowski został przytrzymany, lecz miał go uwolnić jakoby wspomniany ks. Brzozko. Po wyleczeniu z ran Landowski ponownie przyłączył się do oddziału powstańczego Bertranda i Nowickiego, operującego w Siedleckiem, lecz przy spotkaniu tegoż oddziału z wojskiem rosyjskiem w d. 26 lutego 1864 znowu został ranny, przytrzymany i odstawiony do Siedlec.

Tu podał się za Antoniego Feintucha, poddanego austriackiego z Krakowa; dokumenty, stwierdzające to, miała przywieźć jakoby guwernantka Feintuchów, i w skutek tego miał być wydany władzom austriackim, odstawiono go wszakże do cytadeli warszawskiej, a tu tożsamość osoby jego mieli wydać koleldzy, t. j. uwięzieni już pierwiej żandarmi narodowi i inni więźniowie polityczni.

Według wersji, opowiedzianej w „Zapiskach” M. Berga, Landowski, po powrocie z Krakowa chciał utworzyć oddziałek z ludzi dobrze sobie znanych w Łukowskiem, lecz tamtejsi obywatele nie chcieli mu w w tej sprawie dopomódz, żądając wyraźnego rozkazu rządu narodowego. Landowski udał się w skutek tego do Warszawy i uzyskał nominację na dowódcę 4-go Oddziału Województwa Mazowieckiego, przyczem odebrał 500 rubli na pierwsze potrzeby. W skutek wszakże jakiejś intrygi lub też omyłki, na tę samą godnośćznaczony został jednocześnie jakiś Francuz Bertrand. Rozgniewany Landowski z ludźmi, jakich miał pod ręką, przyłączył się do oddziału Żychlińskiego i tu miał być jego pomocnikiem

i zastępcą. Po rozbiciu tego oddziału, gdy Żychliński dostał się do niewoli, Landowski utworzył z niedobitków własny już oddziałek, którym dowodził pod pseudonimem „Kosy”. Z ks. Brzozką po porażce parysowskiej tułał się po lasach Podlasia. Wyleczywszy się z ran w marcu 1864 r., zebrał nowy oddział i połączył się z kónnym oddziałem Dejmara, Węgra, b. oficera huzarów austriackich.

Oddział ten liczył wszystkiego 80 koni. Rozbił ich kapitan Witte pod Smolankami na czele kozaków dońskich. Landowski, uwięziony w Siedlcach jako A. Feintuch, został skazany na 12 lat ciężkich robót w Syberyi. Po przeniesieniu go do Warszawy został poznany i rozpoczęto ponowne śledztwo i t. d.

Z powyższego widzimy, iż trochę w szczegółach bałamutnie opowiadają o losach Landowskiego wyżej wzmiankowani historycy, posłuchajmy z kolei, jak też on je przedstawia.

W drugiej połowie 1863 r. Paweł Landowski, student 3-go kursu medycyny w b. Szkole głównej warszawskiej, był jednocześnie, jak to już wiemy, czynnym członkiem ówczesnego rządu narodowego, mianowicie pełniącym obowiązki naczelnika policji narodowej w Warszawie; był to młody przystojny brunecik, wesołego charakteru, sprytny, dowcipny—przytem ogładzony towarzysko—co też ułatwiało mu wstęp do różnych sfer towarzysztwa warszawskiego. Tu niejednokrotnie spotykał się z figurami rządowemi rosyjskimi, a potrafił zawsze tak się dowcipnie urządzić, iż, wyciągając z tych stosunków korzyści dla sprawy narodowej, na siebie nie zwracał podejrzeń, choć często zakpił nawet dobrze z panów dygnitarzy rosyjskich, nie domyślających się nawet, iż blisko obcuje z osobistością tak niebezpieczną, jakim był w owe czasy naczelnik policji narodowej, inaczej tak zwanych żandarmów wieszających

t. j. władzy wykonawczej podziemnego rządu narodowego.

Częściej niż z innymi, zdarzało mu się spotykać w salonach z jakimś von Walem, adjutantem ówczesnego namiestnika hr. Berga, i niejednokrotnie dociąć mu przy damach. To też, gdy się ten pan adjutant nieco później, dowiedział, kim był ów młody człowiek, który mu łatki w towarzystwach przypinał, nie mógł strawić, iż mu się taki ptaszek pod rękę nawijał, a on bezkarnie zezwalał na różne z siebie drwinki, powziął też szczególną zaciekłość, aby koniecznie dostać Landowskiego w swoje ręce.

Tymczasem nasz Paweł, uprzykrzywszy sobie niebezpieczne i nader trudne w danych okolicznościach stanowisko naczelnika policji narodowej*), zapragnął odetchnąć nieco świeższym powietrzem i w polu, jawnie już, spotkać się z nieprzyjacielem. W końcu więc tegoż samego roku**) uformował z doborowych ludzi oddziałek powstańczy i stanął na jego czele pod pseudonimem „Kosy”.

Z partią swoją kręcił się w bliskości Warszawy i niejednokrotnie, z różnym szczęściem potykał się z oddziałami rosyjskimi, unikając, jako dobry partyzant, stanowczego boju z przeważającymi zazwyczaj siłami nieprzyjacielskimi i tylko wówczas napadając, gdy się czuł na siłach. Swymi roztropnymi manewrami partyzanckimi stał się dosyć głośnym, z tego też powodu ściągając na siebie szczególną zawziętość władz wojskowych rosyjskich.

W potyczce pod Parysowem, w której spotkał się z oddziałem kozaków kubańskich (zwanych w owe czasy Czerkiesami), prowadzonym przez znanego dobrze w Warszawie pułkownika Zankisowa, zetknął się z nim osobiście i ranił go pałaszem w rękę, sam zaś odebrał cięcie w głowę, co wspólnie z dwoma postrzałami, otrzymanymi poprzednio w ramię, z powodu utraty krwi z ran i silnego wstrząśnienia czaszki spowodowało, iż spadł nieprzytomny z konia i znalazł się, jako martwy, między poległymi na poboju.

Było to d. 1 stycznia 1864 r. Jak długo leżał nieprzytomny, nie wie, przypomina sobie tylko, iż ocknął się z omdlenia wtedy dopiero, kiedy był obdzierany z ubrania przez jakiegoś kozaka, przyczem uczuł gwałtowny ból podczas zrywania mu koszuli, która przymarzała do okrwawionych ran ramienia. Z bólu więc obudził się, a wówczas kozak, spostrzegłszy, iż ofiara jego żyje jeszcze, głośno odezwał się do stojącego opodal starszego towarzysza: „malczugan etot jeszcze żyw, nużno jewo doriezat” i w tym celu dobył już swego noża... Starszy jednak kozak doskoczył do nich natychmiast, a odrąciwszy na bok amatora dorzynania rannych, wyrzekł stanowczo: „ostaw jewo—woźmiem jewo w plen”. Tym sposobem nasz Paweł ocalał doraźnie od niechybnej śmierci, której oprzeć się nie byłby w stanie.

W bliskości miejsca, gdzie leżał na poboju, starszy kozak znalazł torbę jego z papierami, a przekonawszy się przedewszystkiem, iż w niej pieniędzy niema, uznał za stosowne odnieść tę torbę z dokumentami swemu „naczalstwu”, pierwiej jednak obaj kozacy odnieśli Landowskiego napół żywego i obdarłego do najbliższej wioski, gdzie złożyli go w chałupie jednego z gospodarzy, którego nazwiska, niestety, nie pamięta (podobno nazywał się Walesiak).

*) Jak wiemy, po nieudanym zamachu na życie hr. Berga.

**) W październiku.

Tutaj, sądząc zapewne, iż tak jest słaby, że ująć nigdzie nie zdoła, niewiele się nim opiekowano. Tymczasem poczciwy gospodarz, u którego leżał ranny, wkrótce dowiedział się, że kozacy poszukują we wsi jeńca, do którego należała wyżej wzmiankowana torba, z papierów bowiem w niej znalezionych okazało się, że właścicielem jej był nie kto inny, tylko poszukiwany dowódca oddziału „Kosa”, natychmiast więc zapytał naszego rannego, czyliby go ta wiadomość nie interesowała. Gdy ten z całą otwartością wyznał, iż on to właśnie jest owym Kosą, radził niezwłocznie zebrać ostatki sił i, pod przewodnictwem ośmioletniego syna jego, zaułkami przebrać się do chałupy siostry, któraby go potrafiła dobrze ukryć.

Nie było czasu do stracenia, to też Landowski bez namysłu dźwignął się ze słomy i, prowadzony przez owego chłopca, szczęśliwie dostał się w miejsce wskazane, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Tu zaś poczciwa kobieta, wysłuchawszy malca, ukryła go zaraz w swe własne łóżko, pod siennik, od ściany, sama zaś położyła się z brzegu wraz z dzieckiem przy piersi, nakrywszy się pierzyną, chcąc udawać chorą, na przypadek poszukiwań. Przewidywania jej niezadługo się sprawdziły: kozactwo, pod dowództwem Zankisowa i przybyłego z nim tym razem adjutanta hr. Berga, von Wahla, który, jak wiemy, szczególną pałał złością przeciw Landowskiemu, zaczęło plondrować całą wieś, poszukując usilnie dowódcy, Kosy, wpadło zatem i do tej chałupy, gdzie ten, na szczęście, tak dobrze był ukryty, a wypytawszy kobietę, czyliby poszukiwanego „miałeźnika” nie widziała, splondrowawszy całą chatę, zagładnąwszy we wszystkie jej kąty, nawet pod łóżko, pozostawiło ich nareszcie w pokoju.

(DCN)

WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczerzej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli, pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

— Już nadchodzi, panie! — i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnym morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słychać było dalekie kwakania dzikich kaczek.

— Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić — dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roiło się w błędnych zwolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długim, męczącym oczekiwaniu rozległy się wołania:

— Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom skłębnym gwałtownie i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów.

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

— Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód! Rozstąpić się!

Usłuchano bez szemrania, i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za nimi zwarła się wielkim półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamany murem, ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dookoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu, i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.



Kompania unicka.

Pałacy wicher westchnień się zerwał, i łzawy krzyk i jęk serdeczny.

— Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancją i kielichem w rękach wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczóm cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak żrały łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednym westchnieniem i uczuciem jednym tysiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się jakby świetlane widzenie, zawieszono gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Ntekiedy zabrzczały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozplywały się pachnące dymy, i złocista monstrancja unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie, i było tylko słycać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrząsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził na chwilę i przycichnął i pochyłony jakby się wsłuchiwał w rozdrżane szmery modlitw, w rozelkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szarę mgłę, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którem wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche, prędkie i trwożne szepty:

— Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

— Jezus Marya! Święty Józefacie!

— Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

— Cicho, teraz nabożeństwo!— odezwał się ktoś karcąco.

— A niech przyjdą i niech nas wezmą!— podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i owdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

— To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie strasz!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiały, jak trybu-

larze, bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniejsz zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewystowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroily się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wniósł wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szloch, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

— Niech teraz przyjdą i spróbują brać!— odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.



Wyborca z pod Włodawy, b. unita.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzały w kadzielnym dymach i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, dźwięcznym, jak dzwon, głosem zaintonował suplikację.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwemi ustami świętą melodię i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat ogromnym, głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żalnym płaczem i każda dusza zebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną żrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły i śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebie-ranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonymi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszl, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dietni, a którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest, panie, nasz lud na „Czerwonym Podlasiu”.

Skała, w którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmożły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

Zakończył opowiadanie p. R.

Konie czekały już na mnie przed ganikiem, ale zaledwie wsiałem do bryczki, zaczął padać drobny i zimny deszczyk, a p. R., rozejrzawszy się po zasępionem niebie, zawołał:

— Dzisiaj Św. Jana, wie pan, co lud prorokuje, kiedy deszcz pada w tym dniu?

„Jak się Jaś rozplacze,”

„Mama nie utuli,”

„To będzie padało”

„Do Świętej Urszuli”.

Ale pomimo tej mokrej przepowiedni ruszyłem w głąb „Czerwonego Podlasia”.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Temat dla odczytu: wpływ zmian atmosferycznych na życie teatralne miejskie. — „Wesele podczas rewolucji”, dramat w trzech aktach Sophusa Michaelisa, wystawiony w Teatrze Letnim. — Pogoń za sztukami, któreby mogły mieć zapewnione powodzenie... w Warszawie. — Eksperymenty Teatru Małego. — Występy gościnne p. Weycherta. — Piękna p. Dąbrowska i jej pantominy taneczne à la Duncan.

Chłodne mamy lato i stąd gorącą atmosferą teatralną, bezmała jak w pełnym sezonie.

Teatry pełne, bo w deszcz i o zachodzącym słońcu przy 12 stopniach Reaumura komużby się chciało jechać—choćby na kolację do Konstancja! Tedy i premiera idzie za premierą, a widowiska baletowe w Łazienkach pod otwartym niebem „stosowane” są przez Dyрекcyę z przykładną ostrożnością.

Taki anti-kalendarzowy stan rzeczy ma atoli swoją dobrą i niepomysłną stronę. Na nowości repertuarowe wysiłać się trzeba akurat w porze tradycyjnego wakacyjnego *dolce far niente*... Nie-wygodne to i irytujące.

Zwłaszcza, że w repertuarze dramatycznym nie rodzą się z poniedziałku na wtorek tacy np. „Bohaterowie”, których „dawać” można pięćdziesiąt razy z rzędu wobec pełnej po brzegi sali.

Wiem nawet, że wogóle trudno jest niezmiernie... dopasować wszelką nowość dramatyczną do upodobań i wymagań—publiczności teatralnej warszawskiej. Teatr dramatyczny (nie licząc prywatnej imprezy Gawalewicza) mamy faktycznie jeden tylko. Gdzieindziej, w miastach tak dużych, jak Warszawa, teatrów jest kilka, i każdy z nich ma publiczność „własną”, której wie doskonale jak dogodzić. Tu zaś, u nas, przychodzi na premierę jak najróżnorodniejsza publiczność, wnosząc na salę przenajróżnorodniejsze gusty. Dogodź—że tu wszystkim! Od galerii do parteru...

Oto dla przykładu, gdzieś w którymś berlińskim teatrze grają—nawet w chwili jeszcze obecnej—z wielkim powodzeniem sztukę mało znanego pisarza duńskiego Michaelisa, bodaj że rodzonego brata utalentowanej powieściopisarki (Karin Michaelis), autorki „Dziecka” i „Ulli Fangel”.

Sztuka napozór jak ulał—na lato! Efektowna, a nie ciężka; malownicza, a pełna scen „wstrząsających”. Akcja rozgrywa się za burzliwych czasów Wielkiej Rewolucji francuskiej. Osnowa, w najkrótszych słowach, następująca.

Młody—a marny—margrabia, emigrant, zdobywa się na odważny czyn. Pod osłoną wojsk austriackich wraca do Francji, aby poślubić pannę

d'Estoile. Jakoż ślub się odbywa, ale w moment potem wojska republikańskie otaczają i zdobywają zamek wiejski dóbr magnackich w Trionville i—pan młody skazany zostaje na rozstrzelanie. Wyrok ma być wykonany o szóstej rano. Margrabia ma do rozporządzenia jedną noc tylko—noc poślubną. Jakież czyni z niej użytek? Ucieka w przebraniu, w mundurze jednego z dowódców wojsk republikańskich, któremu w zamian za tę usługę panna młoda przyrzekła... siebie. Gdy atoli kapitan Arron za ułatwienie ucieczki ma być sam rozstrzelany i z heroicznym stoicyzmem patrzy śmierci w oczy, piękna arystokratka ucyzuwa dlań wielką miłość i spędza z nim noc pełną nieznanymi jej upojeniami.

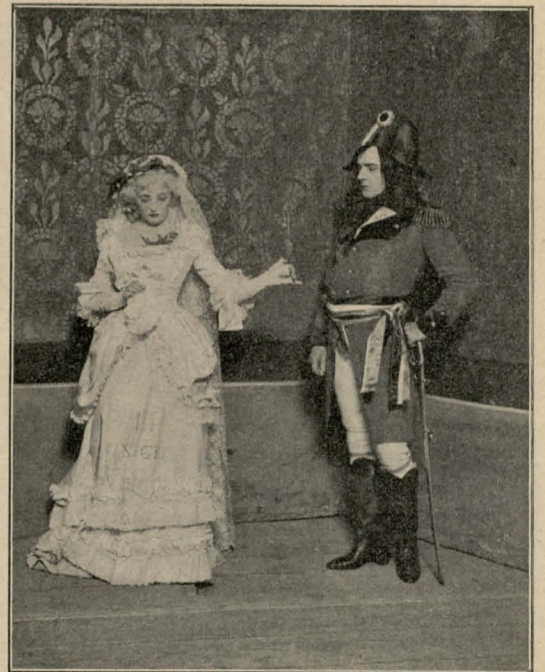
Lecz oto—świta! Teraz wszystko się wyda, i bohaterski kapitan odda swe życie za chwilę miłostnego szału. Lecz—nie! Oto przyjaciel jego, świadom całej przygody, przyłapał gdzieś zmykającego margrabiego i—rzecz oczywista—niema racji rozstrzeliwać dzielnego republikanina, skoro jest na placu sam delikwent. Lecz raz jeszcze—nie! Zastwardziały w swem bohaterstwie kapitan uwziął się paść trupem! Nikt nie wie dlaczego?—ale dramat *coute que coute* stać się musi. Gdy więc nikt z obecnych na scenie nie zgadza się rozstrzeliwać interesującego kochanka panny Alaine'y (tak) d'Estoile, on sam otwiera szeroko balkon i biwajującym na podwórzu zamkowym żołnierzom *każe* do siebie strzelać. Ci pocziwcy pała, jak w jasną świecę... No i koniec.

Potem już tylko ta część publiczności, która zerwała się oklaskiwać „Marsyliankę”, grana za sceną przez muzykę wojskową, oklaskuje p. Nowickiego i p. Dulębiankę (główne role), świetną i stylową *mise en scène*, bicie w dzwony i w bębny, strzelanie i zapach spalonego prochu, rozchodzący się po sali, wzorzyste mundury i patetyczną deklamację—wszystko. Druga zaś część publiczności wychodzi z teatru, dziwiąc się, że dano jej oglądać taką „szopkę”, zupełnie bezpsychologiczną, a upstrzoną nieprawdopodobieństwami oraz nieznośną afektacją.

Jak się rzekło: nie dogodzić wszystkim...

Byłoby może wyjście najprostsze, a mianowicie, nieszukanie aż gdzieś u Duńczyków jakiegoś domniemanie początkującego pisarza, lecz wystawienie bez ceremonii np. „Patrie” nieboszczyka Sardou, który pisał sztuki ani o drobinę niemniej efektowne, niż „Wesele w czasie rewolucji”, a mocne w charakterystyce postaci i szanujące—literaturę.

Dla „Wesela” Michaelisa jest jedno wskazane miejsce: w teatrze ludowym. Publiczność tam nie wgląda w takie... drobiazgi, jak charaktery, psychologia, prawda historyczna, prawda życiowa, styl literacki, a przyjmuje, bez pudła, jeszcze goręcej efekty, którymi posługuje się Michaelis. Absolutna czarność rojalistów i absolutna białość repu-



Alena (p. Dulębianka) i Marc Arron (p. Nowicki).

blikanów dogodziłaby tej publiczności jeszcze w wyższym stopniu, niż „wyższym” sferom publiczności teatru ludowego,

Grano sztukę—płytko.

Lecz nie tylko nasza scena dramatyczna szuka wciąż sztuk—o sukcesie uniwersalnym. Nasz Teatr Mały wciąż przerzuca się od „rodzaju” do rodzaju” wystawiając na przemian to komedię amerykańsko-angielską („Prawda” Clyde Fitch'a), która jednak na gruncie upodobań naszych nie dała się zaaklimatyzować, to udratyzowaną „Zbrodnię i karę” Dostojewskiego, to z innej jakiejś coś zaczerpnie beczi, a przyznać trzeba, że Gawalewicz po wszechświatowym repertuarze scenicznym przebiera, jak skończony wirtuoz po fortepianie.

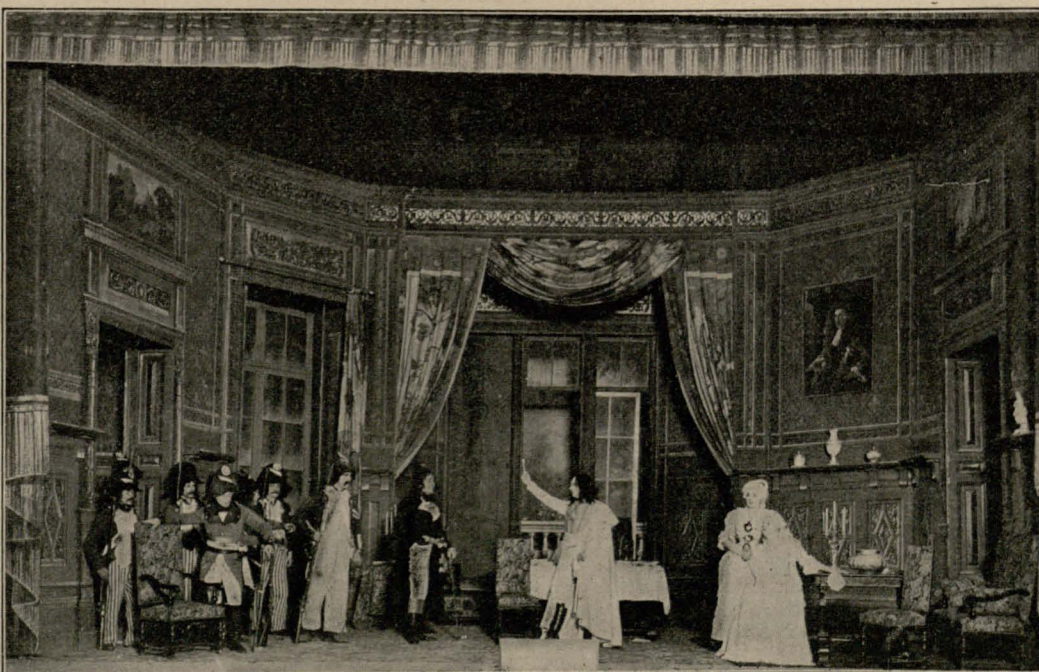
No i w rezultacie wypadło wrócić do sztuk, które niechybnym powodzeniem opatentowała—Warszawa. Np. do nieśmiertelnej „Moralności pani Dulskiej”, która, jak się temi dniami znów okazało, nic nie straciła—jeszcze—ze swej siły przyciągającej. Aż tu i zjawił się w Warszawie p. Weychert, świetny artysta, wychowaniec Teatru Małego, obecnie członek sceny krakowskiej, a zażywający właśnie letniego urlopu. Zaangażowanie p. Weycherta na szereg gościnnych występów było dla dyr. Gawalewicza dziełem jednej chwili. No i nie zwlekając dano... „Dzień Zaduszny” Heyermansa, sztukę piękną, a z rolą popisową dla p. Weycherta. I—niezwykle pełno było w Teatrze Małym.

Jeden przeto tylko p. Śliwiński nie kłopoty się i nie łamie sobie głowy. Puścił w świat „Bohaterów”, puścił „Krysię Leśniczanek”, puścił „Osiołka”—i spokojnie sobie przygotowuje, ze zwykłą maestrią i pomysłowością, operetkę-wodewil „Mimi” Raimana, którą dziś właśnie ujrzeć mamy w Nowościach.

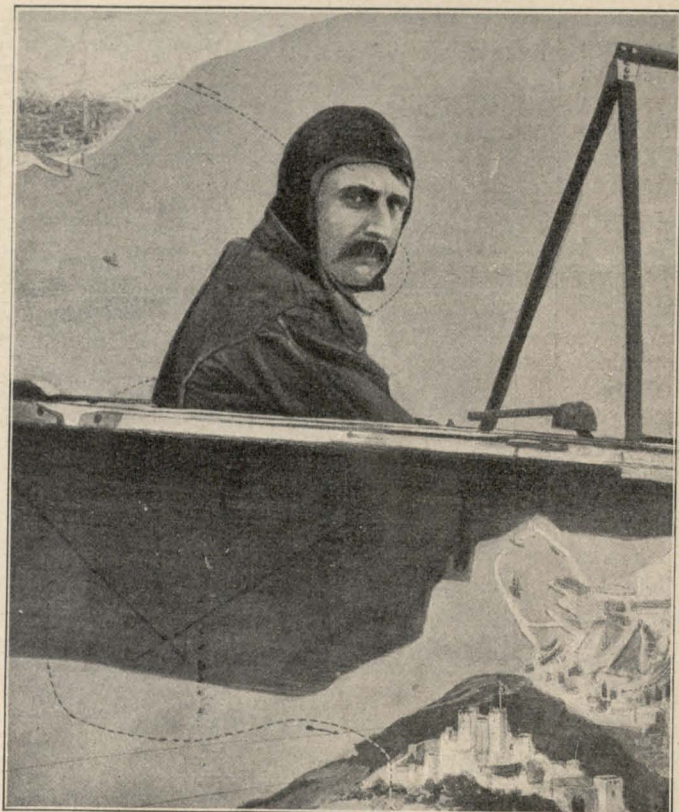
Tymczasem, sami znakomici nasi artyści operetki i krotoczwili odświeżają ograne sztuki coraz to ucieśniejszymi „dodatkami”, coraz to doskonalszym wykonaniem. Nie dziwić się, że ludzie po razy trzy, cztery, pięć chodzą na jedną i tę samą sztukę do Nowości lub do Nowego.

Ostatnimi czasy dodano operetce nielada atrakcyę: tańce „wolne” p. Stefani Dąbrowskiej, zwanej „polską Duncan”. Uroczę zjawisko. Cała Warszawa wędruje je oglądać i zachwycą się. Są, którzy utrzymują, że taniec p. Dąbrowskiej jest tak głęboko estetyczny i tak wysoce artystyczny, iż szkoda „profanować go”, podając jakby na deser po pierwszej lepszej operetce. Wiadomo jednak że nie miejsce zdoła człowieka, a u nas zwłaszcza publiczność operetkowa nie jest bynajmniej jakiejś niższej rangi, klasy lub sfery...

Zresztą inne przystawie powiada, że pięknej twarzy wszystko do twarzy. A p. Dąbrowska jest tak piękna...



Scena z aktu III sztuki Michaelisa „Wesele za Rewolucyj”.



Blériot na swojej maszynie.

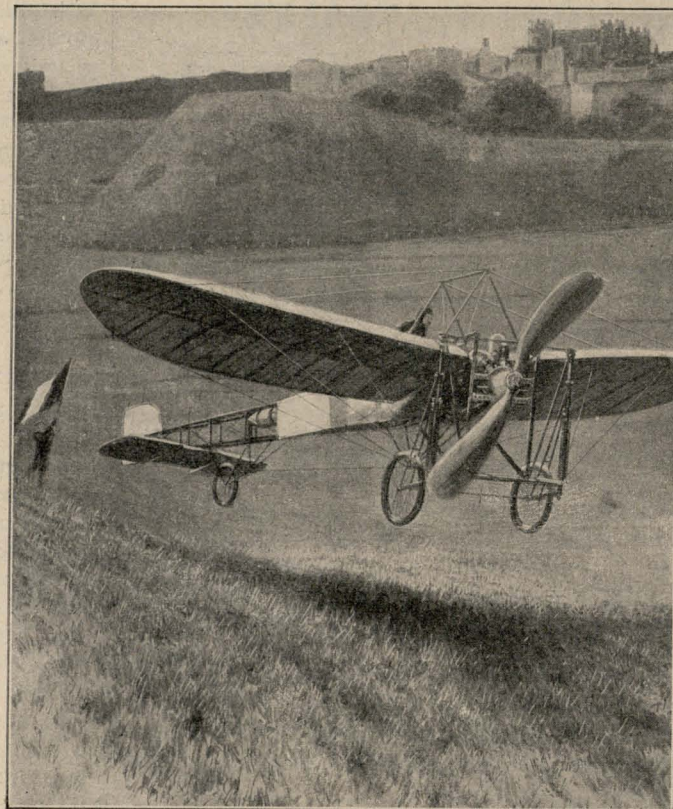
Na szerokim świecie.

Kiedy Stephenson zastosował wynalazek Wata w komunikacji lądowej i wodnej, była to zmia-

riota? A przecież nie jego nazwisko stanie się symbolem opanowania powietrza.

Blériota przyjmują dziś ludy tak, jak nie przyjmowały żadnego monarchy, bezpośrednim odruchem entuzjazmu i podziwu. To słusznie. Postawią mu kiedyś liczne pomniki, po szkołach całego świata dzieci sylabizować będą jego nazwisko i wbijać je w zdumionego poszanowania godną pamięć. I to słusznie. A przecież jest on tylko spadkobiercą tysięcy nieudanych prób, zmarnowanych żywotów, uważanych za szalone i obłąkane, wszystkich, co przypinali sobie skrzydła i mężnie ginęli, roztrąceni o ziemię czy wodę, opanowane przez człowieka, a jednak buntownicze. Nikt o nich dziś nie pamięta. A jednak, jak starożytni stawiali świątynie nieznanemu bogu, jak w Hiszpanii istnieje zwyczaj wznoszenia pomników nie-

znany bohaterom, czyli bohaterstwu, tak obok monumentów Blériota winni być czczeni ci, którzy trupami swymi dawali świadectwo idei, ściełając nimi ścieżkę, najeżoną przeszkodami, a prowadzącą do powodzenia. Powodzenie! — wielkie



Wylądowanie Blériota w Douvres.

słowo, talizman polityka, uczonego, wynalazcy, ucieleśniony wyraz przychylnego trafu, okrutne prawo losu dla tych, co kwiatu paprocinie znaleźli...

Wiele użyto atramentu i papieru na sławienie pokojowej doniosłości przeprawy Blériota. Entu-

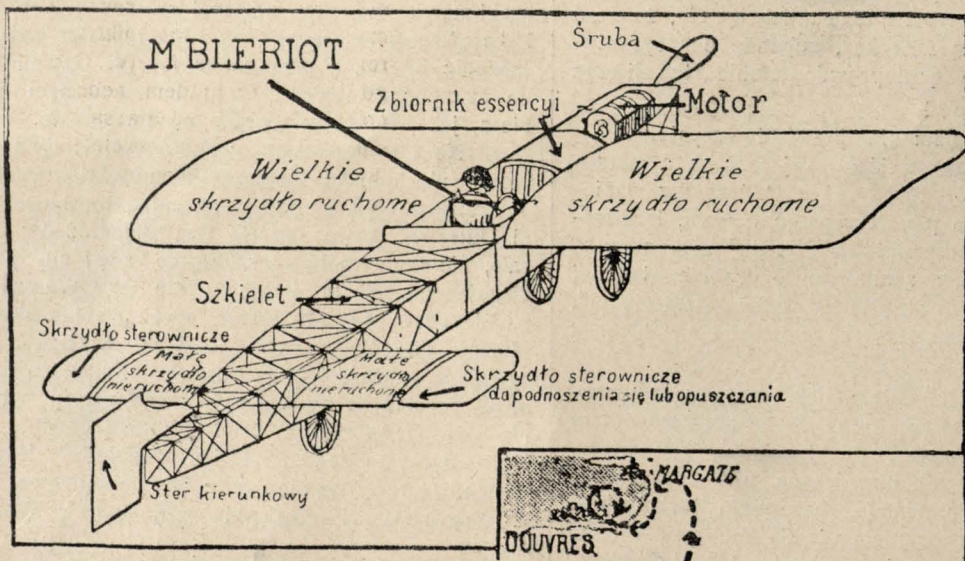
wieków pozostanie najbardziej godnym czci, geniuszowi ludzkiemu, boskiemu pierwiastkowi w człowieku.

Dobrze jest, że wiekopomnego wzlotu dokonał Francuz. Geniusz najznakomitszej rasy świata, łacińskiej, dokonał cudu, zaćmił znowu inne, dając świadectwo nieśmiertelnej prawdzie, że najwięksi ludzie są spadkobiercami i wykwittem niezliczonych pokoleń, nagromadzenia olbrzymich zasobów prastarej, potężnej kultury.

Podczas gdy jeden z narodów łacińskich święci tymczasowo pokój tryumfy, drugi, pograniczny, nieszczęsna Hiszpania, podlega równocześnie podwójnej klęsce: wewnętrznej wojnie domowej i zagranicznym walkom kolonialnym. Jedna znajduje się poniekąd w związku z drugą.

Nie ulega wątpliwości, że w polityce kolonialnej mocarstw w Marokku Hiszpania najbardziej jest zainteresowana, jako położona najbliżej, oddzielona jedynie wąską cieśniną od państwa zachodzącego słońca. Mimo to, na konferencji w Algieras została przez silniejszych wykwitowana.

Ekspluatuje przecież jakieś kopalnie żelaza i ołowiu w pobliżu Melilli. I z tych kopalni chcą hiszpańskich władców przepędzić wojowniczy Kabylowie... uzbrojeni podobno w broń i wskazówki z Niemiec, złudzeni obietnicami i pochwałami



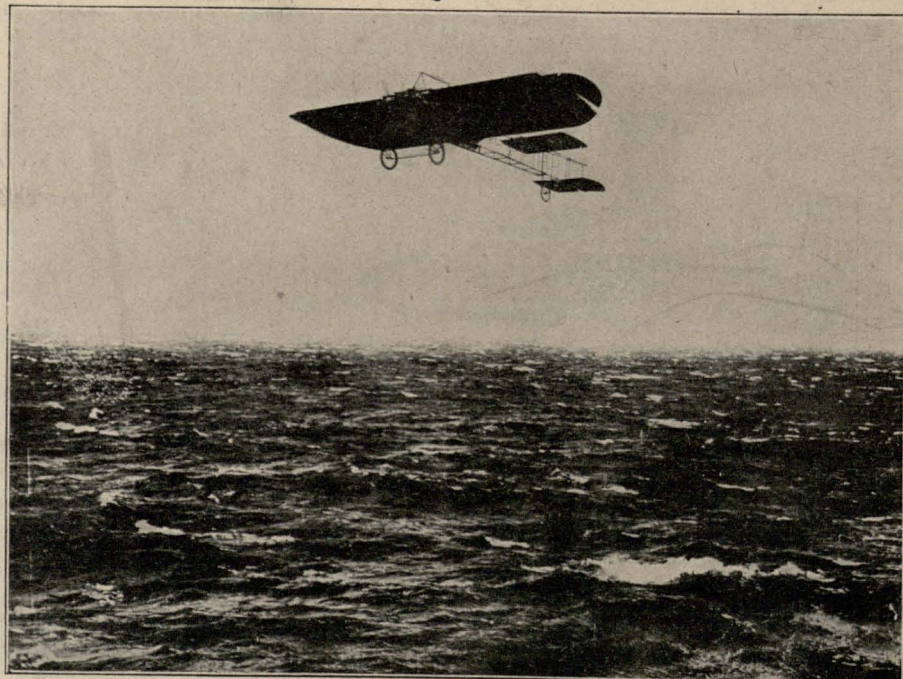
Schematyczny rysunek monoplanu Blériota i odbytej przezeń drogi.

na olbrzymia, zwrotna w dziejach świata, wprowadzająca w życie czynnik nowej siły, zbliżająca odległości. Nie była to jednak rewolucja zasadnicza: przyspieszało się szybkość, ale na tle od wieków znanych już ludziom dróg.

Na taką zasadniczą rewolucję w komunikacji dane nam jest patrzeć dopiero dziś. Pierwszym krokiem na tej drodze jest przeszybowanie Blériota na monoplanie własnego pomysłu przez kanał La Manche. Zapewne: maszyna może unieść tylko jednego człowieka; do prawidłowego funkcjonowania potrzebuje spokoju w powietrzu; znalazłoby się zapewne wiele innych zastrzeżeń i wad; niemniej jednak jest to wypadek pierwszy częściowego opanowania powietrza.

Nazwisko Blériota staje odtąd nie tylko obok największych wynalazców świata, ale ponad nimi, obok tych bezimiennych, którzy wynaleźli ogień, stworzyli pierwsze narzędzia i broń pierwotną. Obok olbrzymich zdolności, wielkiej inicjatywy i śmiałości, miał on jeszcze ten nieokreślony w życiu czynnik losu, trafu, pospolicie zwanego szczęściem. Któż zaręczyć może, że ów Latham, spadający w nieszczęsnych wzlotach potomek pierwotnego wzoru, Ikara, nie jest może zdolniejszy od Blé-

zyzmu . r ó w n i e łatwy, jak bezmyślny. Któż bowiem zaręczyć, czy z tego zarodka nie wykwitną właśnie nowe środki zniszczenia? W tych peanach pokojowych tkwi także spora doza obłądy, radości z cudzej szkody, ze zniweczenia „wspaniałej izolacji” naturalnej Wielkiej Brytanii. Lud angielski nie dał się unieść tak niskim uczuciom. Z niekłamanym, żywiołowym zapałem składał w osobie Blériota hołd temu, co po wieki



Między niebem a morzem (fotografia z natury)



Marokańska placówka strażnicza w Melilli.



Rewolucyoniści w Barcelonie.

Francji. Tak zwykle wyglądają odwrotne strony przymierzy.

Kabylowie rzucają się dzikimi, licznymi hordami i mordują załogi hiszpańskie. Wytrwać przecież trzeba — więc nowe posiłki. Ci Hiszpanie, którzy są tam na posterunku, giną mężnie, ale tu, w kraju, nie brak takich, co odmawiają wymarszu.

Szczególnie separatystyczna odwiecznie i najbardziej przemysłowa Katalonia dostarcza takich opornych żołnierzy. Przemysłowa — więc poddana agitacji socjalistycznej i anarchistycznej, więc wyznająca jedynie wiarę w prawa, odrzucająca wszelkie obowiązki. Przedewszystkiem — obowiązki względem ojczyzny. I dlatego, gdy ta jest w swych koloniach zagrożona, podniesiono w Katalonii sztandar buntu.

A że przypieka południowe słońce, że wichry afrykańskie niecą żar we krwi, więc Barcelona staje się widownią przerażających barbarzyństw scen. Rozjuszony tłum morduje księży, pali zakonnice. Niemniej rozjuszone wojsko, pijane szaleństwem odruchu, zgania rewolucjonistów w jedną dzielnicę i tam kartaczuje ich bezlitośnie. Biada zwyciężonym — wczorajszym i dzisiaj.



Zmobilizowana piechota hiszpańska, ze sztandarem.



Zbuntowani mieszkańcy Madrytu przed pałacem królewskim.

Gdy nad morzem północnym nowe wykreślają drogi ludzkości, przypinając skrzydła, za Pirenejami leją się potoki krwi w bratobójczej walce. Tam umysł ludzki ogarnia nowe, niczem nie ograniczone horyzonty, tu dają sobie folgę najpierwotniejsze i niezmiennie instynkty, też same, co za czasów jaskiniowych. Obok cudów postępu widzimy panowanie odwiecznego złego.

L. W.



Goście z Czech.

Za tydzień niespełna widać będziemy na ziemi polskiej goście pobratymczych. Jako wyraz wdzięczności za przeszłoroczną liczną wycieczkę polską do Pragi, jako zadokumentowanie chęci nawiązania bliższych stosunków kulturalnych i ekonomicznych przybycie Czechów uważać należy.

Bardzo poważnie przedstawia się ta wycieczka. Przeszło pięćdziesiąt instytucji czeskich, izby handlowe, stowarzyszenia ekonomiczne, towarzystwa i korporacje zawodowe, rada stołecznego miasta Pragi, rada narodowa czeska wysyłają do nas swoich przedstawicieli. Widać stąd, jak wielką

cieszy się popularnością myśl zbliżenia kulturalnego z nami w najszerszych kołach narodu czeskiego.

Nie będzie rozdzwinków przy tych odwiedzinach braterskich. Bo za wspólnym porozumieniem tych, co przyjąć na ziemi naszej organizują, uważając się słusznie za przedstawicieli społeczeństwa polskiego, podały tu sobie ręce różne sfery i kierunki, a także odwiedzinom tych gości, którzy szlakiem polskim zdążają, odjęto z góry wszelkie cechy polityczne, czyli wszystkie te czynniki, które ludzi rozdwarzają, miast łączyć. Bez żadnego związku z prądem neostowiańskim, co do którego zdania są podzielone, damy w przyjęciu wycieczki jedynie wyraz radości zbliżenia z dzielnym narodem i lepszemu poznaniu się wzajemnego, jak również gościnności, którą Polska słynie. Przedstawiciele narodu czeskiego przyjeżdżają na ziemię polską, tylko do Polaków — oto treść i znaczenie zbliżających się uroczystości.

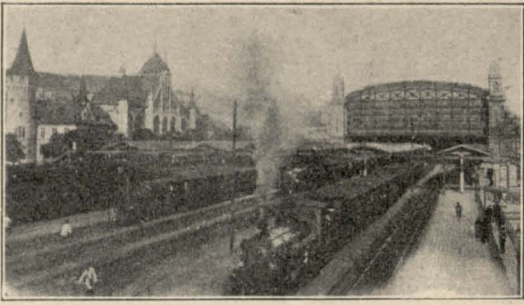
Polacy, którzy w Czechach bywali, zachowali wspomnienie radosnego i serdecznego przyjęcia. Więcej — nauczyli się dużo. Bo widzieli potężne wyniki pracy narodu, który o własnych siłach wydzwignął się z pod przemocy niemieckiej, budząc dziś podziw kulturą i zamożnością. Takie były wrażenia wszystkich wycieczek: i przeszłorocznej mieszanej, i dwóch wycieczek drobnych rolników. Ci zwłaszcza włościanie nasi byli zdumieni tem, czego dokonało i dokonywa współdziałanie umiętne.

My się podobnymi wynikami przed gośćmi naszymi pochwalić nie możemy. Warunki były gorsze: dziś dopiero naprawdę poczynamy pracę kulturalną, i to nie bez przeszkód. Czesi zobaczą to i zrozumieją. Nie będziemy świecili szychem udanego bogactwa i pomyślności, której niema. Pokażemy im siebie i kraj nasz, jakim jest wistocie.

Jak ich przyjąć mamy?

„Przedewszystkiem sercem za serce, okazane w roku zeszłym — mówi odezwa Komitetu przyjęcia. — Oni wiedzą, że nie mamy organizacji i urzędów, posiadających odpowiednie środki do wystąpień publicznych. Wszystko to musi zastąpić dobra wola i zapał pojedynczych obywateli. I te niech spotkają goście nasi na każdym kroku. Święte są obowiązki gościnności. Dla nas są po dwakroć święte — serce za serce”.

Spółczeństwo polskie z pewnością zastępuje się do tego wezwania. Goście nasi znajdą na każdym krsku serdeczną uprzejmość i wyjadą zadowoleni, że zawiązali nowe ogniwo łączności dwóch bratnich narodów.



NA POCZTÓWKACH.

WRAŻEŃ NIECO.

SERYA PIERWSZA

I.

W wagonie, o wschodzie słońca.

— Co to jest *Hemendex*?

Gorzko mi było odpowiedzieć: „nie wiem”—tędyż zażenowany, spuścił oczy i milczał. Ty zaś, pani, raczyłaś wówczas rozkazać przelotem:

— To niech się pan dowie!...

I o żadnym hemendexie mowy już potem nie było między nami przez tę krótką noc, pamięta pani, spędzoną ongi u otwartego okna w korytarzyku wagonowym, podczas gdy wszyscy nasi towarzysze podróży wysypiali się tak ordynarnie po przedziałach swoich.

Oto znów korytarzyk wagonu... i u okna otwartego stoję—sam... i tak samo świta brzask letniego dnia... Jeszcze palą się światła wagonowe i mogę tych pierwszych słów kilka skreślić na pierwszej pocztówce, na pierwszej z całej seryi—przrzeczonych.



Zawsze gdy pociąg rusza z dworca kolejowego, chce mi się z peronu powionąć chusteczką i krzyknąć całemu oddalającemu się pociągowi:

— Piszcie często!

Bowiem może zauważyła pani, że są to sakramentalne, klasyczne „ostatnie słowa” wszystkich t. zw. przeprowadzających i żegnających. Gdy się już nic więcej niema do powiedzenia, a w chwili gdy drgnął pociąg, wypada coś powiedzieć, wówczas „pisz często!” samo z ust się zrywa. Prawda?

Natura ludzka jest z przyrodzenia i w odruchach swoich przedziwnie zacna, tkliwa—i pomysłowa.

Tylko, niestety, nie pani natura, o której tkliwość właśnieby mi najbardziej chodziło.

O!... bądź jednak pewną, że dowiem się najakuratniej co to jest hemendex (przez duże czy przez małe *h*), i właśnie dlatego tą a nie inną ruszyłem linią kolejową, nocą, sam czwarty w przedziale wagonu—z trzema damami.

Palącą i zawilgą kwestyę: *kto* ma pierwszy zacząć układać się do snu... swobodnie, rozstrzygnęło moje opuszczenie przedziału. Pewien jestem, że dziać się tam natychmiast

zaczęły toaletowe misterya niewieście, które postanowiłem uszanować do końca, to jest do samej Granicy.

Klasycznie romantyczną spędzam noc. Tonę cały w blaskach księżycowych i lekkim omdlewaniu.

Swoją drogą:

„Noc jest wspaniałym zjawiskiem przyrody,
Lecz najpiękniejsza ta, którą się prześpi.”

II.

Trzebinia.



Nikt nie rzuca się kupować gazet krakowskich. Przestały mieć smak przedziwny zakazanego owocu, i zamorusany chłopak, szafarz tych *ex-lakoci*, nadaremnie zachwala *Czas i Nową Reformę* stojącemu przed stacją, obojętnemu pociągowi.

Gorączkowe podniecenie, towarzyszące ongi przekroczeniu granicy galicyjskiej, należy już do przeszłości. Szkoda! Emocje wszelkie są życia solą i muszkatelem.

Galicyjskie pogranicze sprawia dziś wrażenie zwietrzałego saszetu. Torebka pozostała ta sama—tylko zapach z niej się ulotnił.

Sam Kraków utracił jedną z najcharakterystyczniejszych cech swoich. Przestał być śpichlerzem zmonopolizowanych, a zakazanych tuż po tamtej stronie granicy: emblematów państwowych—i książek. Orzełki poprzelatywały granicę i przestały usiewać wystawy sklepowe krakowskie. Papierośnicy, lub spinek z napisem: „Boże, zbaw Polskę” trzeba się dziś wręcz dopominać w galanterijnych magazynach krakowskich.

Do tego doszło!

Pozostał na placu tylko nieśmiertelny „Kościuszko pod Racławicami” Anczyca i grają go wciąż jeszcze sumiennie w Krakowie przez lato całe, chociażby w teatrze ludowym—*ad usum* przejezdnych. Albowiem „Kościuszkę pod Racławicami” oglądać można tylko i wyłącznie w Galicyi, i dlatego właśnie jest wciąż jeszcze oglądany z nie słabnącą wytrwałością.

III.

Trzebinia.

Pociąg wciąż jeszcze stoi.

Czekamy *fahrplanmässig* na pociąg ze Lwowa, na pociąg z Wiednia, na pociąg z Katowic i na parę jeszcze pociągów mniejszej wagi. Po ich przedelfowaniu przez Trzebinę i my nareszcie puścimy się lekkim truchcikiem w dalszą drogę.

Do Krakowa jakby ręką sięgnąć. Dobrze jest jednak uczynić pauzę między czarą a ustami. Sybaryckiego przez to smaku Kraków nabierze.

Wróciłem do mego przedziału—i nową piszę kartę.

Co za doskonale znany mi wagon! Począwszy od ponadłamywanych sprężyn w siedzeniu i brudnych, rozklekotanych ścian aż do trójjęzycznego u okien nadpisu: „Nie wychylać się!”

Pocziwy, zacny wagon. No, tak nic a nic nie zmienić się w ciągu tylu lat! To ci dopiero sztuka!... Patrzę,—oczom nie wierzę. Tam,—nawprost mnie—nad oknem...

Było tak.

Pierwszy raz w życiu jechałem do Krakowa—na jubileusz Kraszewskiego—w bardzo licznej kompanii. Nastrój w przepelnionym pociągu panował niezmiernie podniosły. Nie przeszkodziło to jednak któremuś z naszych towarzyszy podróży—zaśmiać się głośno, przeczytawszy jeden z napisów, umieszczonych z zewnątrz nad oknem przedziału.

Brzmiał ów nadpis:

„Po prawej stronie na zewnątrz znajduje się nad oknem

LINA

którą w razie gwałtownej potrzeby należy ciągnąć tak długo, aż pociąg stanie”.

Owóz figlarz jakiś—nudzący się w Trzebinii—dokaligrafował nader starannie następujący wariant:

„Po prawej stronie na zewnątrz znajduje się nad oknem

KAROLINA

którą w razie gwałtownej potrzeby należy ciągnąć tak długo, aż pociąg stanie.”

O Lino-Karolino! Jeździsz oto bez przerwy między Granicą a Krakowem i *vice-versa* od roku 1879, a może i od wcześniejszej jeszcze daty,—po dziś dzień. Znowu oto jedziemy z tobą, Karolino, w jednym do Krakowa przedziale—po latach tyłu! Co za spotkanie! Witaj mi, witaj, niespożyta ochroniarko kolejowego bezpieczeństwa publicznego u zbiegu granic trzech mocarstw! Zwisaj-że, zwisaj u wagonu tego, da Bóg, po wieki wiecznie—nietknięta.

CZESŁAW JANKOWSKI.

(DCN)

KRAJOBRAZY.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

II.

Mimo dużych leśnych obszarów, na których królują dęby i sosny, właściwie drzewem za i nadniemeńskich stron jest brzoza. Wprawdzie siedzą tu po miedzach i grusze, i jarzab czerwieni się po zapłociach, i klon, i jawor misternie wyciętym liścieniem zaszumi, ale to, co te strony od innych wyodrębnia, w „pocziwej brzezynie” ma niejako swe wcielenie.

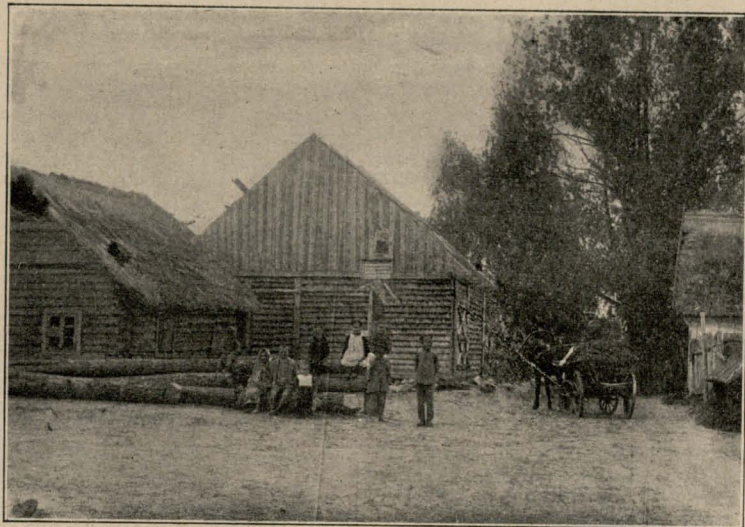
Bo i te brzozy jakby inne, poważniejsze i jakby jakimś smutnym sentymentem przepojone, smutne.

Kiedy w krakowskich, lubelskich stronach, lub na Mazowszu trafi się jeno brzożka wesoła, „nikiej dziewczka, świat jej karczma, wiater śpiewka, biała korka, kieć koszula, rozmarzała się i hula!”, tu każda, jak żałobnica. Czy w gromadzie, czy w pojedynkę rosnące, mają jakiś wyraz zawodzenia, bólu, tęsknicy, każda przypomina ową mickiewiczowską z „rozpuszczonym strumieniem warkoczy”, tę wieśniaczkę, oplakującą kogoś bardzo drogiego.

I może to właśnie, że rutnym wiankiem tej ziemi jest brzożka, nadaje krajobrazom tutejszym na całej przestrzeni, którą potocznie Litwą zwiemy, charakter melancholijnego „zamyślenia”.

I czy to będą grodzieńskie Krynki Łempickich, czy słuckie Bielice Naruszewiczów, czy Boreykowszczyzna, wykrawek z Niemiezańskich dóbr hr. Tyszkiewiczów, słynny pobyt Syromli, czy głośna niegdyś Brzostowica, gdzie spoczywa serce Karola Chodkiewicza, czy dziedzictwo Kraszewskich Dołhe, to „zamyślenie” snuje się wszędzie i na każdym kroku widza uderza i zarysowuje się wszędzie w pamięci, jak jakiś łagodny, cichy, ale ciągły smutek.

Mają ten wyraz i wody Prypeci i Niemna i Swiśloczy i Nalibockie lasy i pińskie zarośla i gro-



Zaścianek (gub. grodzieńska).



Fragment z okolic Kowna. Pastuszkowie poją bydło w jeziorku, utworzonym między dawnymi wałami obronnymi zamku Witolda.

dzieńskie piaski, bujne niwy Żmudzi i wszystko słońce i niebo tej ziemi.

A nie jest to jakaś maska przybrana, jakiś welon zadumy, przygodnie narzucony, ale silny w swym akcencie i rysunku wrażeń niejako oddech tej ziemi.

I jeszcze co uderza i zadziwia.

Kiedy na innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, na Ukrainie, Wołyniu aż po chersońskie stępy, pełno jest pobojuwisk, gdzie oręż polski krzyżował się z kozackim, pełno śladów wojen domowych, na Litwie niema nigdzie polsko-litewskiego placu boju.

Są zagonów szwedzkich, tatarskich liczne dowody, są Chowańskiego i innych, jest krzyżackich najazdów moc dokumentów w ziemi, ale polsko-litewskiego pobojuwiska niema. Kości pradiadów jednej i drugiej strony śpią w jednych mogiłach, bo jednej sprawie służyły, bo pradiadowie i dziadowie powtórzą za Słowackim:

Jak dwaj równi rycerze w jednakowej zbroi,
Chodzili pierś przy pierśi staczać z wrogiem
bitwy,

Jak dwie na łonie Boga wyrosłe modlitwy,
Jedną natchnione myślą! Jak dwa pszczelnych roi,
Które pasiecznik zlewa w jedne ulu ściany...

To też żałobnice Litwy, brzozy, szumią tym spoczywającym obok się kościom jednakim smutkiem, jednaką tęsknicą zawodzą.

I może dlatego, choć się dziś tak wiele o antagonizmie litewsko-polskim czyta, mówi i pisze, niema go wistocie, niema w sercu narodu, niema wśród ludu.

Ale o tem w następnych pogadankach.

KAZ. LASKOWSKI.

W 500-ną rocznicę.

W bieżącym tygodniu obchodzi Saksonia i całe kulturalne Niemcy uroczystości i z niebывалą okazałością rocznicę pięćsetną założenia sławetnej wszechnicy lipskiej. Zawieszono wykłady i zajęcia naukowe, otwarto wystawę starodawnych pamiątek uniwersyteckich, zapowiedziano przybycie zastępcy cesarza i rządu, króla saskiego, delegacji i reprezentacji wszystkich uniwersytetów Europy, mnogich instytucji naukowych. Nie braknie podobno i wystawców obu polskich wszechnic.

Wszechnica lipska należy do grupy najstarszych uniwersytetów niemieckich (Praga, Wiedeń, Heidelberg, Kolonia etc.), fundowanych między połową XIV-go a początkiem XV-go stulecia, a zorganizowanych na modłę nieśmiertelnej sławy uniwersytetu paryskiego, najszacowniejszej uczelni średniowiecznej.

Nowa wszechnica w bardzo krótkim czasie nabiera znaczenia niepośledniego i rozgłosu. Młodzież napływa do niej z najodleglejszych nawet krain, zwabiona głośniami imionami profesorów,

dwa wielkie sobory powszechne, kostnicki i bazylijski pytają, między innymi, także lipskich teologów i kanonistów o opinię w kwestjach najistotniejszych. Frekwencja uczniów wynosi w XV w. przeciętnie 2,000 głów rocznie, wśród tego dużo znakomitości, nawet z domów panujących. Polaków bawi tu początkowo niewiele. Za cały wiek XV-ty naliczył ich dr. Tomkowicz, wydawca lipskiej metryki, zaledwie 108, choć niema prawie roku, aby jeden, czasem dwóch Polaków, się nie zapisało. Nazwisk wybitniejszych, rzec można, nie spotykamy, z wyjątkiem znakomitego historyka, Długosza, zapisanego pod r. 1445.

Stosunki zmieniają się zasadniczo dopiero w pierwszych latach XVI wieku, kiedy to Lipsk zasłynął swojemi „studia humaniora”.

W ogólnej liczbie studentów, płynących teraz obfitym strumieniem w mury wszechnicy, nazwiska polskie są coraz liczniejsze, rok każdy niemal przyprowadza kogoś z Polski; w 1522 zapisuje się aż 13 Polaków, w r. 1531 — 10-ciu, w 1534 — 11-tu i t. d.

Nazwisk znanych, szlacheckich, czysto polskich nie brak już teraz w matrikule, aby wyliczyć: księdza-warchoła St. Orzechowskiego, Piotra Chwalczewskiego, Marcina Załogę, etc. etc. Zastęp ten zwiększa się poważnie od chwili zaprowadzenia reformy w Lipsku.

Ruch wychodzący z Polski, w której nowinki rozsiadły się tymczasem na dobre, wzmaga się gwałtownie. Cyfra Polaków, immatrykułowanych co roku, przekracza z reguły liczbę dziesięciu, dochodząc w r. 1563 do maximum, t. j. 40-tu. Uniwersytet lipski staje się w Polsce modnym, wszystkie znakomitsze domy, magnackie i szlacheckie, ślą tutaj swych synów. Z pisarzy i poetów wystarczy wymienić kilku np. Krzysztof. Warszewickiego, braci Orzelskich, Andr. Trzyńneskiego, Mikołaja Sępa, Marc. Kwiatkowskiego, Samuela i Seklucjana, Marcina Czechowica.

Znaczenie Polaków w nacyi „polskiej” rośnie niepospolicie, głównie dzięki datkom pieniężnym, składanym hojnie do wspólnej szkatuły. Z powracającymi zaś do ojczyzny scholarami lipskimi płynie wartkim prądem: humanizm i reformacya. Słusznie też wskazywał Kochanowski Lipsk, jako źródło „nowej wiary”. Od roku 1575, mniej więcej, frekwencja Polaków poczyna słabnąć i spada przy końcu stulecia znowu do kilku nazwisk rocznie. Śnac kontrreformacya potrydencka i propadanda Jezuitów robiły w Polsce swoje. Wogóle przy końcu XVI stulecia widoczny jest już w Lipsku pewien zastój, szczególnie na polu studiów humanistycznych, filozofii i teologii. Wiek XVII natomiast, szczególnie epoka wojny trzydziestoletniej, przynosi wszechnicy lipskiej upadek, któremu usiłowanie naukowe znakomitych

jednostek nie mogło zapobiedz. Napływ scholarów zmniejsza się nie do poznania.

Dopiero przy końcu stulecia daje się zauważyć po długim odrętwieniu znowu pewien zwrot ku lepszemu, pod wpływem świeżych tchnień, idących od Halli. Powstają towarzystwa literackie. Zbiory i zakłady uniwersyteckie mnożą się, rozwija się na nowo żywa działalność naukowa. W następnym stuleciu, XVIII, szczyty się też Lipsk imponującym szeregiem uczonych pierwszorzędnej sławy.

Wiek XIX zrywa wreszcie stanowczo z tak



Uniwersytet w Lipsku. Augusteum.

długo utrzymanym średniowiecznym strojem szkoły, modernizując ją całkowicie (1830—1850). Znika stary, odwieczny podział na nacye, znika nacya polska, która przetrwała czterysta kilkadziesiąt lat.

Członków jej Polaków z XVII—XVIII w. nie znamy, dr. Tomkowicz nazwisk ich nie wynotował, było ich też zapewne niewiele. W czasach najnowszych, głównie dzięki opiece króla Jana, wzrósł uniwersytet lipski w znaczenie i sławę. Dla wszystkich wydziałów pozyskano pierwszorzędne siły (podawać nie sposób długiego katalogu świętych



Piotr Chmielowski.

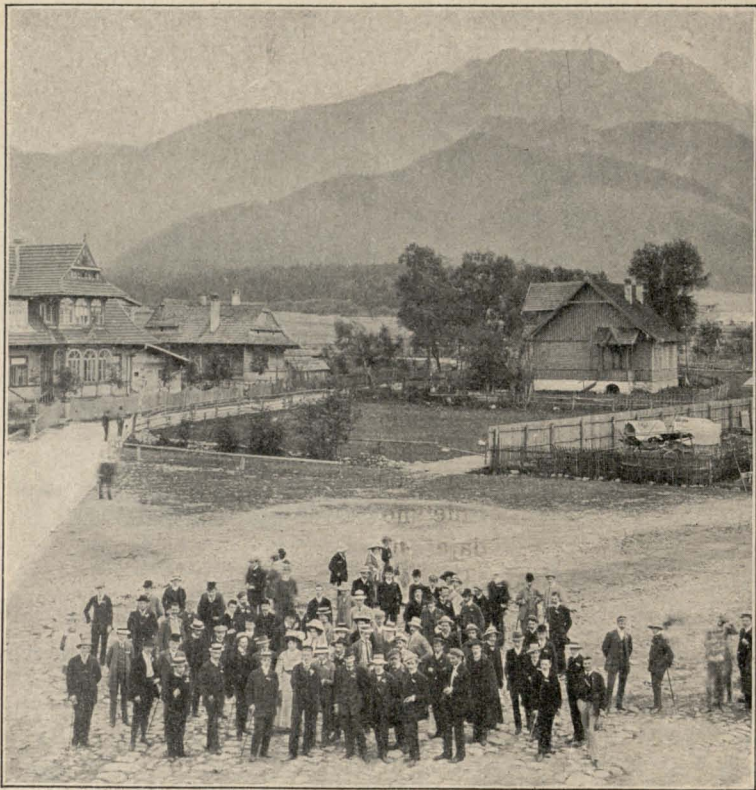
Znakomici uczniowie-Polacy uniwersytetu lipskiego ostatniej doby.



Aleksander Świętochowski.

nazwisk), 40 przeszło budynków obejmują zbiory, zakłady, kliniki, urządzono seminaryja; fundacje stypendyów, jadalni bezpłatnych etc. liczą do 30 milionów marek. Lipsk, który jeszcze w połowie XIX w. miał 800 słuchaczy, ma ich dziś około 4,000 i jest drugim po Berlinie uniwersytetem niemieckim.

STANISŁAW ŁEMPICKI.



Prezydium zjazdu młodzieży w Zakopanem.

Sejm młodych w Zakopanem.

Liczna kolonia zakopiańska miała w ubiegłym tygodniu widowisko niezwykle. W sali hotelu „Morskie Oko“ przez trzy dni obradowało blisko 240 delegatów i delegatek wszystkich niemal towarzystw polskiej młodzieży uniwersyteckiej, gdziekolwiek się one znajdują, od Tomśka po Paryż i Londyn. Niezwykły ten sejm młodych zebrał się, aby rozstrzygnąć tak ważną i bolesną sprawę, jak stanowisko młodzieży polskiej wobec uniwersytetu warszawskiego, dalej kwestję wyjazdu Polaków na uniwersytety rosyjskie, tudzież aby wynaleźć sposób umożliwienia niezamożnym studjowanie zagranicą. Niestety, mimo czterdziestokilkogodzinnych narad prowadzonych z młodzieńcem iście ożywieniem, a często i z namietnością, nie wszystkie z tych spraw załatwiono, a te, z którymi się ostatecznie w powodzi replik, duplik, tryplik i kwadruplik uporać zdołano, rozstrzygnięto tylko zasadniczo. Kiedy nazajutrz przystąpiono do najważniejszego punktu po-

rządki dziennego, stanowiska młodzieży wobec uniwersytetu warszawskiego, rozpoczął się długi, nieskończenie długi szereg przemówień. Przeważały wywody tak zw. „zasadnicze“. Ten i ów rozwodził się nad taktyką. Żądniejszy oklasków uderzał w strunę uczuciową... Ostatecznie da'sze bojkotowanie uniwersytetu warszawskiego jednogłośnie uchwalono. Po tej chwili jedynomyślności nastąpiła prawdziwa nawałnica różnorodności. Pojawił się szereg rezolucji z motywami owej zasadniczej uchwały, których rzecznicy zwalczały się wzajemnie z niezwykłą zaciętością. Ostatecznie w drodze rozmaitych kompromisów uzyskano większość dla rezolucji zgodnej duchem z poprzednią jedynomyślną uchwałą. Przy następnej sprawie, uczęszczania Polaków na uniwersytety rosyjskie, powzięto uchwałę bardziej umiarkowaną. Obie te sprawy tak zabsorbowały uczestników narad, że brakło im czasu na rozstrzygnięcie rzeczy najważniejszej: dostarczenia środków materyalnych tym, którzy, posłuszni jedynomyślnej uchwale bojkotowej, zechcą wyjechać zagranicę bez grosza i bez środków do życia. Tę najtrudniejszą sprawę przekazano bardzo roztropnie jakimś innym komitetom...



Grupa uczniów VIII gimnazjum ze Lwowa nad jeziorem w Druskienikach.

MILI GOŚCIE.

Miłych gości podejmowały w tym czasie litewskie strony. Dnia 10 lipca wyruszyła ze Lwowa wycieczka kilkunastu uczniów VIII gimnazjum pod kierownictwem profesorów: dra Ludwika Bykowskiego i Bolesława Pochmarskiego celem poznania ziem polskich pod zaborem rosyjskim. Przedewszystkiem rozpoczęto od rodzinnych stron Juliusza Słowackiego: wycieczka zwiędziła zatem Krzemieniec i piękną jego okolicę (ruiny zamku Bony, górę Czerczę, Krzyżową, Tarpejską), następnie zaś skierowano się na Pińszczyznę, gdzie

młodocianych turystów podejmował gościnnie w majątku swoim, Kożandworcu, p. Kazimierz Szczytt.

Odmienny i oryginalny charakter tych malowniczych okolic wywarł niezwykle silne wrażenie na młodych umysłach, przywykłych do innego zgoła wyglądu polskiej ziemi. Po ciekawej i pełnej wrażeń podróży wodnej na łodziach, a później na parostatkach do Pińska, skąd pieszo wyruszone w mickiewiczowską historyczną okolicę, przez Luniniec dostali się zatem turyści do Baronowa, stamtąd przez Koldyczew, gdzie zatrzymała ich gościna p. Szulejowiczowej, do Zaosia i Tuhan-

wicz. Po małym odpoczynku w domu p. Tuhanowskiej wyruszyli dalej, zatrzymując się w Wołoczku u pp. Lubańskich (dwór Niesiołowski), w Czombrowie u p. Karpowicza, wreszcie w samym Nowogródku.

Z niekłamanym entuzjazmem witała dzielna młodzież piękne te strony, co wyhodowały największego naszego wieszczą, a przed wrażliwą wyobraźnią młodych tych umysłów, wychowanych w świętej czci dla wielkiej poezji, przesuwały się, jak w kalejdoskopie, piękne obrazy, których wspomnienie wyciska niezatarte piętno na każdej duszy polskiej.

Idąc śladami wieszczą, przybyli turyści d. 19 b. m. do Wilna, gdzie zabawili 4 dni, podejmowani gościnnie przez obywateli wileńskich za staraniem p. Eustachego Jakielnickiego.

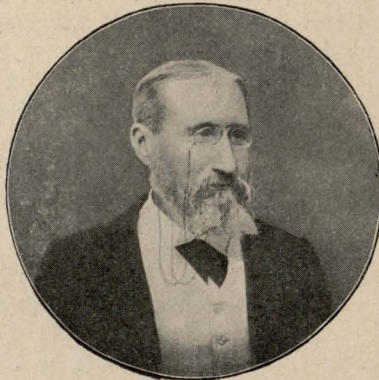
Po zwiedzeniu miasta i okolicy opuścili gród Gedymina, udając się do Druskienik celem zwiedzenia brzegów Niemna. Tu podejmowani gościnnie przez Zarząd, zatrzymali się dzień, poczem udali się do Białowieży, a stamtąd przez Kurpie udają się do Warszawy gdzie zatrzymają się w szkole Wróblewskiego, zwiedzając gród syreni.

Załączona fotografia przedstawia grupę młodych piechurów wraz ze swymi przewodnikami i znanym poetą Elem (Kazimierzem Laskowskim) na środku, zdjętą podczas pobytu w Druskienikach. K. L.

PRZYJACIELE POLAKÓW.

Karol Gide.

W Komitecie, zajmującym się wzniesieniem pomnika Mickiewicza w Paryżu, współpracuje pomiędzy innymi Karol Gide, profesor „Ekonomii porównawczej“ na fakultecie prawa. Znakomity socjolog, którego dzieła cieszą się u nas zasłużoną popularnością, w przygotowanym obecnie studjum o rozwoju kooperacyi pragnąłby uwzględnić szeroko dział polski.



W tym celu zwraca się za pośrednictwem „Tygodnika“ do „Stowarzyszeń współdzielczych“ z pod trzech zaborów z prośbą o nadsyłanie treściwych danych w języku francuskim pod adresem: Paryż „L'Union cooperative“ 1, rue Christine (VI). (ON).

Konkurs.

Wydział Towarzystwa Oświaty Ludowej we Lwowie ogłasza konkurs na napisanie popularnej historii Polski. Termin konkursu d. 1 października 1910 r.

Pierwsza nagroda wynosi 500 koron, druga 300 kor.; autor pracy nagrodzonej otrzyma nadto honorarium za wydrukowanie w kwocie 30 kor. od arkusza. Praca powinna być oparta na wynikach dzisiejszych badań naukowych i zawierać całość dziejów państwa i narodu ze szczególnem uwzględnieniem ostatnich dwóch stuleci; nadto powinny w niej znaleźć miejsce elementarne wiadomości z geografii ziem polskich, oraz równomierne uwzględnienie stosunków wewnętrznych i dziejów politycznych. Objętość wynosić winna 10–15 ark. druku. Prace, opatrzone godłem, wraz z kopertami, zawierającymi nazwisko autora, na których zamieścić należy to samo godło, należy nadsyłać pod adresem prof. dra Stanisława Zarzewskiego we Lwowie, ul. 29 listopada, 2–39.

Na obczyźnie.

Jeszcze jedna świątynia katolicka, ostoja życia narodowego wśród wychodźców polskich, powstaje dzięki zabiegom i ofiarności jednostek. Oto otrzymujemy wiadomość, że w Rybińsku w gub. jarosławskiej został wzniesiony z rozporządzenia władzy komitet budowy kościoła. Pełnomocnictwo na prowadzenie wszystkich spraw komitetu mają: jarosławski proboszcz i kapelan wojenny, ks. Bujno (adres: miasto Jarosław), i adwokat przysięgły, p. Stanisław Wituński (adres: miasto Rybińsk, gub. jarosławskiej). Szczęść, Boże, dobrym poczynaniem.

ZMARLI.

KAJETAN ABGAROWICZ. W Truskawcu zmarł nagle 27 z. m. Kajetan Abgarowicz, znany w literaturze polskiej pod pseudonimem Abgara Sołtana. Z widowni literackiej zeszła postać charakterystyczna, która ze swą wybitną przynależnością do epoki Korzeniowskich i Zacharyasiewiczów, ze swoim konserwatyzmem wschodniogalicyskiego szlachcica stanowiła oryginalną plamę na mieniącym się bardzo wyszukanymi barwami tle naszego współczesnego piśmiennictwa. Urodzony w r. 1856, Ormianin z pochodzenia, szlachcic polski z przekonań, upodobań i instynktów, ś. p. Abgar Sołtan siał pszenicę na tłustym czarnoziemiu podolskim i pisał swoje powieści i obrazki.



Nie szukając zawitych intryg i kolizyj, zadawała się najchętniej anegdota dobroduszną lub jowialną. Daleki od wszelkich problemów zawitych, które na sztafażu falującego złota pszenicy podolskiej wyglądałyby conajmniej dziwnie, hołdował ś. p. zmarły owemu przyrodzonemu optymizmowi, który zadawała się tem, co jest, i nowinek nie szuka... Utworów powieściowych Abgara Sołtana istnieje długi szereg. Niektóre z nich, jak „Klub nietoperzy“ (1892), „Panna Siekierzanka“, (1900) „Z wiejskiego dworu“ (1895) i t. d., zapewne długo jeszcze będą czytane, bopisane gładko i barwnie dostarczają czytelnikowi istotnie miłej i nie nateżającej rozrywki. W jednym z najbliższych numerów rozpoczynamy druk ostatniego utworu zmarłego autora, z czerwca r. b., noweli p. t. „Ostatni klejnot“, w której zawiera się jakby przeczcucie rychłego zgonu. S.

MARYA Z ZEMBROWSKICH MAJEWSKA wdowa po ś. p. Hipolicie, znanym i dzielnym przemysłowcu warszawskim, zmarła w wieku lat 78, osierocając synów: znanego socjologa i przyrodnika, Erazma, właściciela fabryki ołówków w Pruszkowie, Karola, oraz dwie córki. Była to w ca-



tem znaczeniu tego słowa [zaczyna] matrona polska. Ciche życie spędziła na świadczeniu dobrego. Ciosem śmiertelnym było dla niej morderstwo ukochanego syna Mieczysława, naczelnika ruchu tramwajów warszawskich. Skutkiem tego wypadku zapadła na ciężką chorobę, z której się już nie podniosła. Cześć jej pamięci.

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE
I. FILIŃSKI Marszałkowska 153.

Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że WODY MINERALNE SZTUCZNE WYROBU WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“ ZAOPTROZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu. Zarząd.

Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewskiego
Żądać wszędzie.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne
sprzedaż wszędzie.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

Krystyna zarumieniła się tym razem z zadowolenia i pomyślała, że jednak ten Miś, gdy go przycisnąć, ma i sumienie.

Ale książęta pocili się trochę od tej uroczystej zabawy w księżym domku, gdzie ściany były tak niskie, a nastrój tak wysoki. Pożegnawszy się wkrótce po obiedzie, nie pokazali się już we dworku. Po zachodzie słońca tylko przypomnieli o sobie, gdy od strony jeziora dolatywać zaczęły do parku gęste trzaskania strzałów, zwiastujące rzeź ciągnących kaczek.

Zaległa znowu cisza we dworku. Jednak dotknięcie „wielkiego świata” pozostało po sobie pewien niepokój w sercu Krystyny, zwłaszcza, że i brak listu od Kazimierza stawał się coraz trudniejszym do wytlómaczenia. Ani przez Sidorkiewicza, ani wprost do Ponikszty nic od niego nie przychodziło. Może on wreszcie myśli o czym innym, gorzej—o kim innym?...

Panna Zubowska, po miesiącu noszenia w swem staropanieńskim sercu okropnych wyznań księżnej Zasławskiej, wyśpiewała je nareszcie Krystynie. Ta nie chciała wierzyć, zrzucała instynktowo winę na księżną, wzdygała się jednak przed obrazem, który jej utkwiał w pamięci. Plotki z Wilna, przyniesione przez Misia, wzmianka jego o matce—kojarzyły się w wyobraźni logicznie z tamtą ohydą.

— Nie do mnie należy kontrolować prywatne życie pana Rokszyckiego—wmawiała w siebie Krystyna.

Ale zbyt gorzko rozmyślała nad obyczajami mężczyzn wogóle i zapytywała przestroni, dlaczego Kazimierz nie jest wyjątkiem.

Ksiądz Antoni nie spowiadał przemocą swej wychowawicy. Ale, widząc ją trochę mniej pogodną, trochę bardziej roztargnioną przy rozmowach i czytaniach, odgadywał powód przyćmienia jej pierwszej radości. Nie mógł przecie spodziewać się, że Krystyna zamieszka u niego stale, że snuć będą przez lata tę sielanekę filozoficzną, chociażby w najświętszych celach i z zobopólnym pożytkiem. Ten miły kwiat, wyhodowany przez niego, nie mógł być dla niego. Gdyby nawet rozwinęli tu we dwoje, według gorączkowych zamiarów Krystyny, jakieś działanie, nauczanie, pracę czynną dla ogółu, ktoś trzeci przyjąć musi dla dopełnienia jej szczęścia, a wtedy jego przypadkowe szczęście, nienależne staremu księdzu, pójdzie na bok, do wspomnień. Tak być powinno. Poczytałby sobie za grzech, gdyby temu czemkolwiek przeszkodził.

— Jaki jest ten, który przyjdzie? Oby był synem światłości!...

Z tak wyrozumowanym utęsknieniem oczekiwał ksiądz Antoni przyjazdu Kazimierza.

XXI.

Przez parę tygodni nosił Kazimierza po świecie gorączkowy rozpęd ku przyśpiesze-

niu jakiejś pożądanej przyszłości, której nie ogarniał jasnym planem. Len litewski—przędzalnia o sto mil w Ziembowie; obowiązki na miejscu urodzenia—nowe przymierze z Litwą i Litwinką—wszystko to nie dawało się sprowadzić do jednego mianownika. Jeździł z Warszawy do Ziemkowa i napowrót, starał się zapewnić sobie najszerszy możliwie kredyt dla swych nowych przedsięwzięć, ale naprawdę nie był pewien siebie, czy fabryki, razem z innymi swymi aspiracjami, nie przemieść wogóle—na Litwę.

Z ojcem mało rozmawiał, a to głównie z powodu, że pan Apolinary, zjechawszy w sąsiedztwo Ziemkowa, rozgłaszał o kraju i ludziach świeżo poznanych oceny wcale odmienne od spostrzeżeń Kazimierza, mówił zaś tak głośno i przemożnie, dostawszy się na swój grunt rodzinny, że Kazimierzowi sprzykrzyło się rektyfikować, zwłaszcza, że mało miał czasu i nie chciał podkopywać powagi wuja. Poglądy teoretyczne na Litwę i Litwinów przebrzmiałyby zresztą w tej prowincji koronnej, nie sprowadziwszy rewolucji, ale gorsza była apoteoza Aldony Budziszówny, którą pan Apolinary przedstawiał, jako streszczającą w sobie wartość i wdzięk całej Litwy, i bez zastrzeżeń używał wszelkich swych wpływów w Ziembowie u pana Jana, w Warszawie u pani Janowej Rokszyckiej, aby dowodzić, że jedyną opatrnościową żoną dla ich syna Kazimierza jest Aldona, dziedziczka uroczych Wiszun. W każdym charakterze agitatorskim, więc też i jako swat, okazywał się pan Apolinary heroicznym. Kazimierz poprostu uciekał od wuja, a imię niewinnej Aldony stało się dla niego zmorą prześladowczą.

Jak piorun pośród tych zabiegów padła wiadomość w postaci listu pani Hieronimowej Budziszowej, zapraszającego kuzyna do Wiszun na zaręczyny Aldony ze Stanisławem Kmitą. Kazimierz był już na szczęście wyjechał do Warszawy, nie słyszał więc, co o nim mówił srodze zawiedziony w swej propagandzie, tyraniczny wuj.

Dla swoich własnych rojeń nie miał Kazimierz w ostatnich tygodniach żadnej zewnętrznej zachęty; musiał mu wystarczać palący w nim ogień młodości. Dziwił się jednak, że od Krystyny otrzymał jeden tylko list w Warszawie, przyjazny, ale jakiś nieśmiały, niepodobny do Niej, rzekomo drugi po liście, pisany do Wilna, który widocznie zaginął. List otrzymany przypominał głównie obietnicę przysłania technika leśnego.

Nie zapomniał bynajmniej o techniku. Udał się do swego szkolnego kolegi, Franciszka Marcza. Ten przyjął proponowaną funkcję, jednak uprzedził, że taksować las zwarty i gęsto podszyty można dopiero wtedy, gdy liść opadnie. Kazimierz pośpieszył donieść o tem Krystynie pod adresem Sidorkiewicza; i na ten list powinna była już dawno nadejść odpowiedź.

Nie słyszał nic o Krystynie, nie rozmawiał o niej z nikim, nawet z Apolinarym, który unikał jej imienia, zapewne celowo, to-

kując natomiast bezustanku o Aldonie. Ale goniła za nim postać Krystyny w czarnym stroju, postać z chwili pożegnania. Miał przecucie, że ona czeka na niego w swoim więzieniu, że go przywołuje... Ale dlaczego tak milczy?—Po nocach śniła mu się, tracąc rysy rzeczywiste coraz bardziej, ulotna jakaś, czasem drażniąca nerwy bolesną rozkoszą, urojoną zazdrością, to znowu żalobna i chora. A dlaczego ona naprawdę nie mogła być chora, skoro tak długo nie daje znać o sobie?

Po czterech tygodniach miotania się w zabiegach i niepewnościach, Kazimierzowi uczyniło się nagle jasno w głowie: musi znowu jechać na Litwę.

Więc, gdy go pan Apolinary szukał w Warszawie, Kazimierz już był w Wilnie.

Pierwszym znajomym, którego spotkał, był Wiktor Hylzen, człowiek instynktowo przyjazny. Ucieszyli się obaj ze spotkania, po chwili jednak Rokszycki zauważył, że Hylzen jest smutny i roztargniony. Znając go mało, nie chciał wypytywać i miejsce nie było po temu, gdyż spotkali się w tłumie i w foyer teatru. Rozmawiali więc obojętnie o sztuce, której pierwszy akt właśnie się skończył. Sztukę tę znał Kazimierz ze sceny warszawskiej, a Hylzen wyznał, że widzi ją tutaj po raz trzeci i przyszedł dzisiaj tylko dla popierania zacnych usiłowań dyrekcji teatru polskiego.

Dano znać dzwonkiem o końcu antraktu, ale Hylzen ociągał się z powrotem do sali. Poprosił owszem o szklanekę limonady przy bufecie i ożywił się właśnie po rozplynięciu się tłumy.

— Widzi pan—rzekł do Rokszyckiego—my tu mamy wszystko do rozpoczęcia na nowo, jakbyśmy się obudzili ze snu tyfusowego. A trochę dopiero sił odzyskaliśmy po kordyałach, które nam dano: tolerancji religijnej i konstytucji.

— Cóż, kiedy i te kordyały wietszejają, albo, jeżeli kto woli, fałszowane są przez aptekarzy—odpowiedział Kazimierz.

— Pierwszy nie. Ukaz tolerancyjny był aktem doniosłym i szczerym. Pomimo targów z wykonawcami, tolerancja uzdrowiła znacznie stosunki na Litwie i Białorusi. Gdyby konstytucja, która w zapowiedziach swych zawiera wszystko, czego nam potrzeba, była istotnie wykonana, moglibyśmy dojść do spokojnego pożycia z Rosją na zasadach sprawiedliwości i wzajemnej korzyści.

Kazimierz wpatrywał się w Hylzena, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Tak, panie Rokszycki; poznałem pańskie przekonania w Rarogach i umiem je szanować. Jednak nam tu na Litwie potrzeba dla normalnego rozwoju oparcia, nie o jakieś sympaty i tradycje, lecz o potęgę państwową. Unia z Polską należy do cennych pamiątek historycznych; unia z Rosją, choć zawarta przymusowo, jest faktem dokonany i już dla nas potrzebą żywotną. Po-

zostając wiecznymi malkontentami w państwie, skazujemy się na zagładę.

— Jabyem raczej powiedział, że, popadłszy w zadowolenie z istniejącego stanu, skazalibyśmy Litwę na stopniową zagładę i zanik.

— Ja nie mówię o absolutnym zadowoleniu z bieżącego stanu rzeczy—spierał się Hylzen.—Owszem, jestem stronnikiem wielu reform. Mamy tu do utrzymania religię swoją i kulturę własną. Ale nie powinniśmy przeciwdziałać w niczem rosyjskiej idei państwowej.

— Jeżeli rosyjską ideę państwową przedstawia dzisiejszy rząd biurokratyczny, nie widzę możliwości współdziałania z nim, a zarazem obrony narodowej indywidualności Litwy.

— Po rozwoju idei konstytucyjnej Litwa może pierwsza z części składowych państwa rosyjskiego stać się wzorem prowincji, albo i stanu w przyszłej federacji.

— Ależ Rosya powraca wielkimi krokami do ustroju bizantyjskiego!—odparł Rokszycki.—Jakże się tu opierać na mżonkach konstytucji lub federacji? Chyba pan doradza współdziałanie z żywiołami rewolucyjnymi rosyjskimi?

— A, broń Boże!

— Na czymże tedy chce pan oprzeć stosunek federacyjny, czy inny, Litwy do Rosyi?

— Na wzajemnym interesie.

— Chyba tylko ekonomicznym? Interesy rasowe, religijne, kulturalne są przeciwnie.

— Handlować trzeba—rzekł Hylzen—nawet z nierzetelnym kupcem, skoro się od niego absolutnie zależy. Nawet poeta musi jeść codzień.

— Ale nie fałszuje swej pieśni w celu sprzedaży—odparł Rokszycki.

— Nie wybrniemy z tego porównania, gdyż politykę najniebezpieczniej paralelizować z poezją. A to u nas błąd dość pospolity.

— Zgadza się; ja też wcale nie jestem poetą. Tylko, gdy mówię o interesach jakiego kraju, rozumiem całość jego interesów. Rozkwit ekonomiczny jest podstawową, ale jedną tylko częścią potrzeb plemienia, lub narodu. Każdy naród poświęca ją bez wahania dla swych potrzeb duchowych, powiedzmy: instynktowych. Inaczej nie byłoby narodowości.

— Tak—zgodził się Hylzen—interesy religijne i kulturalne przodują w aspiracjach narodu. Powiem nawet, że, jako pobudki do rozwoju narodowości, są silniejsze, realniej-

sze, niż interesy praktyczne w ścisłym znaczeniu.

— No, a zatem?—czekał na wniosek Rokszycki.

— A zatem—uśmiechnął się Hylzen—w oczekiwaniu tego, co się stanie w Rosyi, pilnujmy tymczasem spraw swoich... Wrócimy już chyba do naszego teatru?

Zdawało się, że Hylzenowi chodzi głównie o to, aby on sam sformułował wniosek. Lubił sam z sobą głośno się spierać i zostać pobity przez własną fakundę. Drobną jego, zamyślona twarz nosiła na sobie dziwnie zjednoczone piętna obowiązkowości i przekory.

Po końcu przedstawienia poszli razem do hotelu Żorża na kolację. Choć dużo zastali tam znajomych, usiedli przy osobnym stoliku. Hylzen kazał podać butelkę szampana.

Nie było już mowy o sprawach publicznych. Towarzysze wieczerzy zbliżyli się

utracił nieco swobody; obu widocznie zelektryzował ten temat. Zaczął Hylzen:

— Od czasu jak pani Krystyna wyjechała z Rarogów...

— Wyjechała?!—przerwał Kazimierz zdumiony.

— Jako? nie wie pan? Wyjechała z panną Zubowską i z leśnikiem i dotychczas niewiadomo dokąd. Może Chmara i wie? ale milczą tam o niej, jak o wykletej.

Wzruszenie Rokszyckiego zdradziła naga bladeść. Spostrzegłszy to, Hylzen smutno uśmiechnął się:

— Pomysł łatwy do wytlómaczenia: dusiła się oddawna w Rarogach. A teraz jakieś projekty pana Chmary, nie po jej myśli, wypędziły ją ostatecznie... Szkoda tylko, że wykonanie tej niby ucieczki takie było pośpieszne. Ma przecie przyjaciół, którzyby coś stosowniejszego doradzili.

— I niema śladu?—pytał Kazimierz, jakby powracając z dalekiej pogoni wyobraźnią za Krystyną.

— Zamieszkała gdzieś w naszej okolicy, gdyż nie pojechała koleją. Jednak nie u znajomych. To się wykryje wkrótce, tylko niepotrzebna legenda... Ja sam byłbym jej ofiarował u siebie mieszkanie z panną Zubowską, ale właśnie byłem w Mińszczyźnie, gdy to się stało.

Kazimierz zerwał się nerwowo od stołu i znowu siadł. Ten jego niepokój wystarczył Hylzenowi za wyznanie. Rzekł, wpatrując się w młodzieńca uważnie:

— Widzę, że pana to zdarzenie obchodzi, jak nas tu wszystkich, przyjaciół pani Krystyny.

Kazimierz nie zaparł się:

— Bardzo mnie obchodzi. Muszę nawet koniecznie odszukać panią Krystynę, mam jej zdać sprawę z kilku rzeczy...

Czy na przekorę, czy dlatego, że projekt nie przypadł mu do smaku, Hylzen zaproponował:

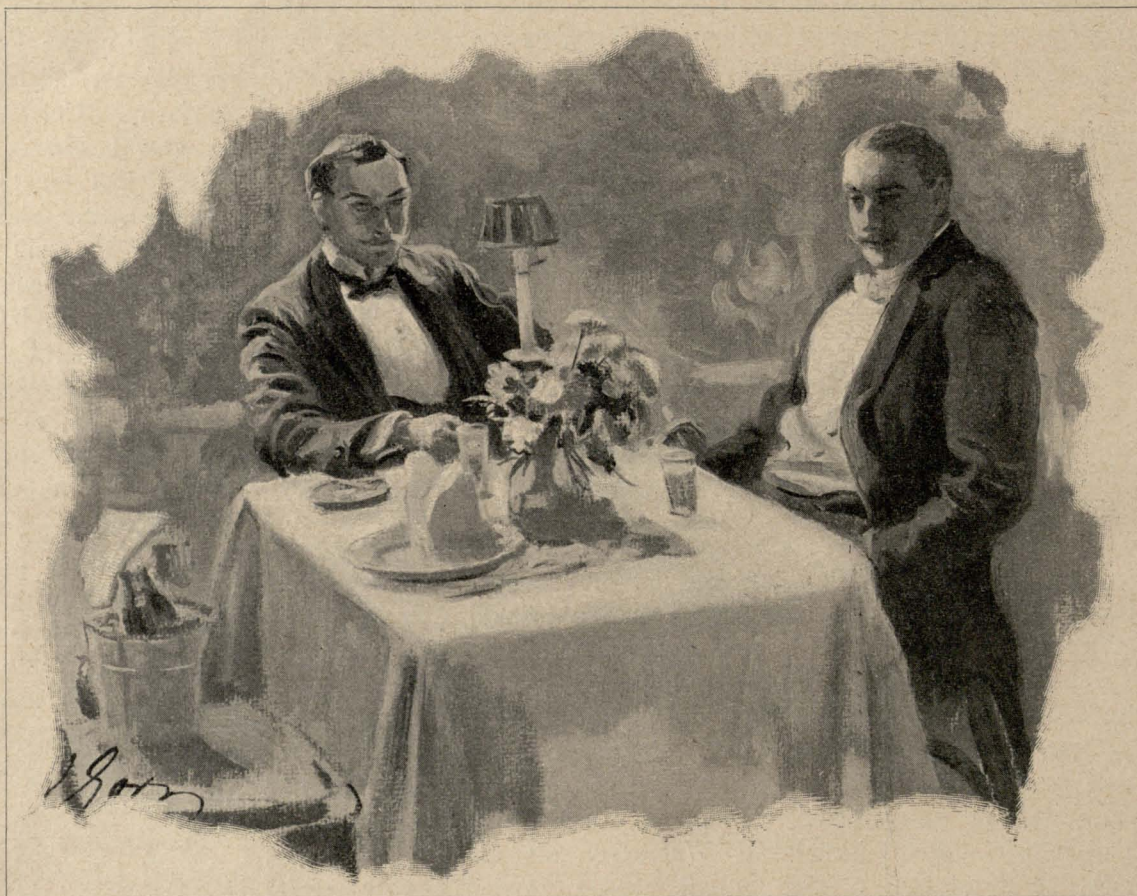
— Jabyem jej nie szukał. Może umyślnie uciekła od ludzi? Nie trzeba płoszyć duszy, która pragnie być sama.

— Może być. Ale ja muszę, bo dostałem nawet taki rozkaz.

— To co innego—odrzekł Hylzen i widocznie osowił.

Zwykł był podporządkowywać wszystkie swe wzruszenia kwintności form towarzyskich. Nie dał więc poznać po sobie zmiany humoru, zajmował Kazimierza konwersacją aż do końca wieczerzy. Ale Rokszycki myślał i uwagę był daleko.

(DCN)



Ale Rokszycki myślał i uwagę był daleko...

KONSTANTY GORSKI

dużo ściślej na gruncie powiadomień o wspólnych znajomych. Dowiedział się tu Kazimierz po raz pierwszy o zaręczynach Aldony Budziszówny z Kmitą i uradował się niepomierne.

— Myślałem, że pan na te zaręczyny przyjeżdża—rzekł Hylzen.—Wiem, że szukano pana po świecie, aby go zaprosić na 29 września, na zjazd do Wiszun.

— Bardzom za to wdzięczny państwu Budziszom, ale listu nie otrzymałem; kręciłem się wprawdzie dużo po kraju przez ten miesiąc.

— Pisano i do wuja pańskiego i osobno do pana.

Zanotowawszy z zadowoleniem tę wiadomość, Kazimierz począł krążyć pytaniami około Rarogów, aż obaj wzajemnie po sobie zauważyli, że zdążają ku rozmowie o pani Krystynie. Hylzen zachmurzył się, Rokszycki

MARION:

Na statku.

Wśród ryku, poświstów, skowytu, wśród pian, rozkołysanych na całej przestrzeni Oceanu, płynie wąty statek wzdłuż brzegów Bretanii.

Dmie wicher. Dal gra głucho tysięcznymi wygłosami, w których poznajesz czasem znajome dźwięki... Ni to prośba, jęk, łkanie... ni to gniew, wściekłość bezsilna, rozpacz... Z tajemniczego wnętrza mórz dobywają się przeraźliwe odzywy, niby echa krain dalekich, cudaczknych, w fantasmagoryi snu objawianych tylko. Olbrzymie fale, chłostane burzą, płaczą i zawodzą, wspólnie z mewami spłoszonymi. Przewalają się góry wód. Z łoskotem toczą się lawiny i biją w otchłań, świecąc ponuro, jak skrzydła Archanioła Zagłady. U poszczerbionych skał tryskają białe fontanny, wzwyż, aż na landy, żarnowcem złotym i wrzosem pokryte, aż na półka zbóż, wyórane z mozołem na urwiskach.

Brzeg—skalisty i dziki. Ogromne bryły granitu, obrosłe parościami, śniedzią zieloną i trupami skorupiaków, leżą nieruchomo, we śnie kamiennym. Tak je tu zniosła zapewne epoka lodów, epoka dziwotworów. Ich cielska długie i leniwe, ich łapy niezgrabne, udają owe kształty bajeczne, o których śni przerażona wyobraźnia marynarza. Może wtedy, gdy były jeszcze miękką i płynną lawą, ułały się w formy owe i tak zastygły na wieczność... Potwory, znikłe już z powierzchni ziemi, lub czające się w bezdniach oceanu.

A więc jaszczury o łbach lwich i skrzydłach nietoperza... A więc węże przeogromne, w których otwartej paszczy okręt snadnie zmieścić się może. A więc mątwy żarłoczne o hipnotycznych oczach i ośmiu ramionach, co ssą krew, przypiwszy się do ciała człowieka...

Martwa i widzialna natura naśladuje żywą, schowaną w niezbadanych głębiach...

Oślizgłe skręty brunatnic pną się po skałach; wyciągają macki, jak robactwo plugawe; kąpią się w zmurszałych kałużach między szczelinami, wspólnie z hordami mięczaków i szkarłupni.

Statek kołysze się, trzeszczy w rytm fal, łupina. Szuka równowagi w rozpaczliwych chybotaniach. Rozpętany wicher ciska nim po wzburzonych odmętach. Raz po raz dźwięczy rozbujany dzwon sygnałowy, uderzając w przytwierdzone nieruchomo serce.

Na pokładzie trzy osoby tylko. On, ona i kapitan—stary wilk morski, mierzący chmurnym okiem dal zagmatwaną i wybrzeże niegospinne.

On tuli ją opiekuńczym ruchem. Szepcze: — Nie bój się... Nie bój się... Jestem przy tobie...

— Jesteś...
— Zawsze, o jedyna...
— A gdyby teraz statek zaczął tonąć...
— Nie mówmy o tem...
— Czy zdołalibyśmy się wyratować?
— Przedewszystkiem ratowałbym ciebie...

Dopłynąłbym z tobą do brzegu... a o mnie... mniejsza...

Z ciemnego kąta odzywa się śmiech przysłuszony:

— Ha!... Ha!... Ha!...

Oglądają się.

Za nimi stoi stary kapitan. Z pod gumowego kaptura widać tylko fosforycznie świe-

jące oczy. Przez spróchniałe zęby leci śmiech bezustanny, urągliwy śmiech Mefistofela:

— Ha!... Ha!... Ha!...

— Co znaczy śmiech ten, kapitanie?

— „Przedewszystkiem ciebie”... Czy tak, młody panie? Ha!.. Ha!... Ha!... Pewien jesteś tego?

— Czym pewien? ha!

— Pozwólcie, że wam opowiem jedno zdarzenie.

„Było to przed laty... dawno już...”

Na statku podobnym do naszego, tylko o wiele lichszym i słabszym, znajdował się marynarz i córka jego szesnastoletnia, ukochana, wypieszczona jedynaczka.

Nagle rozległ się okrzyk: „Ratuj się, kto może!... Idziemy na dno!...”

Rozszalała załoga porwała szalupę i uciekła.

Statek pękł, jak dojrzały orzech, zaczął się pograżać w wodzie i wkrótce znikł w przepaściach morskich. Marynarz i córka jego, zapomniani, pozostali uciepieni do pasa ratunkowego.

Brzeg był bardzo daleko. Żadnej wyspy na widnokręgu. Pustka — i rozhuśtane wody dokoła. Czasem zdawało się, że leci głos jakiś ludzki... Natężali słuch...

Nie... Złudzenie...

Znacie to... To wiatr tak mamiąco targa falami...

Nigdzie żywej istoty. Płynęli czas jakiś... ale ciężar dwojga był za wielki...

Jedno musiało iść na dno...

Wyczytali to sobie wzajem z ócz rozgorzałych...

Córka uchwyciła się kurczowo pasa w ślepej żądzy życia. Taka młoda była... szesnacie lat... pieszczona, psuta, śliczna... Miałaby zginąć za chwilę? W tym odmęcie sinym? Stać się pastwą krabów?... Z ust jej wpółotwartych płynął jęk błagalny...

On... ojciec... jest starszy, silniejszy... umie przecież pływać... da sobie radę z rozhukanemi falami... Ojciec... Ona nie chce umierać!... nie chce, nie chce umierać!...

I wtedy... Czy uwierzycie?... Ręce ojca—te silne, żylaste ręce wilka morskiego, z całej mocy uderzyły w jasną głowę dziecka... z obezwładnionych dłoni wydarły deskę ratunku... i, zostawiwszy zemdloną jedynaczkę — swój skarb, swoją światłość, swoje szczęście — ten ojciec, ten łotr, ten potwór uciekał—czy słyszycie?—uciekał!

Do życia! do życia! do życia!

To uczynił ojciec... Wiedzie, co znaczy ojciec... Świat cały streszcza się w dziecku, w *swojem* dziecku...

A pan... który ojcem nie jesteś——

Pan mówisz, że dla kobiety, dla ukochanej kobiety...

Ha!... Ha!... Ha!...”

Śmiech kapitana zabrzmiał, jak łkanie.

Zamilkł.

Nikt się nie odzywa. Tylko przez szlochające tonie grzmi allegro furioso rozhułanego wichru.

On silniej przyciska ukochaną do piersi. Kapitan zaczyna po chwili niskim, ochrypłym głosem:

— Tą dziewczyną, o której wam opowiedziałem... tą dziewczyną... była córka moja... a ten ojciec... to ja...

Odwraca się od zakochanych i, otulony płaszczem gumowym, niknie jak duch w ciemnościach pokładu...

Z teki pośmiertnej ADOLFA DYGASIŃSKIEGO:

CHAM.

NOWELA. 5)

Nie należało czasu tracić i trzeba było bezzwłocznie pchnąć posłańca konnego do Lutopola z wiadomością o nieszczęściu. Maciej pobiegł w tym celu do stajni, gdzie fornale z owczarzem na czele obradowali widocznie nad blizkim upadkiem włodarza.

— Bartek, wsiadaj na koń, pędź do dworu! Niech co tchu przysyłają weterynarza z lekami dla byka!

— Przecie Jaga tam już poszła, to opowie wszystkim!—odparł Bartek z miną szyderczą i odwrócił się tyłem do zwierzchnika:

— Jacy każe, psu bracie!

— Tyś sam psu brat większy!

Na tę odpowiedź inni fornale i owczarz wybuchnęli śmiechem. Kaczor zrozumiał, że nie może skarcić zuchwalca, gdyż czeladź zbuntowana rzuciłaby się niezawodnie do obrony Bartka. Wybiegł ze stajni, mając piekło w duszy, i powrócił do byka chorego.

Musiątek zgnębiony ciągle stał nad ranym Waligórą i wzdychał.

— Capie jeden! — ryknął włodarz — to ty nie wiesz, że twoim psim obowiązkiem było nie dopuścić do nieszczęścia takiego?

Skotak otworzył usta, chciał odpowiedzieć:

— Ano!

Wtem włodarz wściekły porwał go za kark, zwałił z nóg w mierzwę, kopał, bił, ile wlaźło. Była to jedyna istota ludzka, która na folwarku nie stawiała żadnego oporu władzy Macieja. Skatowany srodze, podniósł się z ziemi, ucałował okrutną rękę mistrza i rzekł wśród łkań i szlochów:

— Ano!

Tym razem Musiątek chciał wypowiedzieć: — Zasłużyłem widać na karę, skoroście mię obili.

Pokora istnieje psia sprawiła, że przez głowę Kaczora przeszła myśl:

— Skarałem człowieka niesprawiedliwie... Szkoda!

Pod wieczór tego dnia stosunki i wymiana myśli między Kamionką a Lutopolem ożywiły się nadzwyczajnie. Najprzód Jaga pobiegła do dworu ze skargą na języku, obwiniając Macieja. Później owczarzowa i żony parobków szły tam z koszykami kołaczów i mięsiwa, które ksiądz miał uroczyste poświęcić na dziedzińcu dworskim. Wszystkie te kobiety bardzo chętnie opowiadały każdemu, kto chciał słuchać, historię „o nienawistnym włodarzu Macieju, nieszczęśliwym byku Waligórze i dobrej skotaczce Jadze”. Pominano w opowiadaniu byka Borutę, przeto włodarz wyglądał bardzo czarno.

Dwór lutopolski wyprawił natychmiast do Kamionki weterynarza nadwornego, który już naprzód wiedział, że rany na brzuchu byka należy pozszywać. Za weterynarzem podążył pan rządca z rozkazem wyraźnym dziecica, ażeby wyłącznie Jaga pielęgnowała ranego Waligórę przez całe święta wielkanocne.

— Macieja Kaczora—orzekł dziedzic—trzeba koniecznie ze służby wywalić. Stary najwidoczniej daje się powodować żonie młodej, a dla dworu bardzo niechętniej.

Rządca, naturalnie, przedstawił włodarzowi wolę dziedzica; ale czuł, że tę wolę najwyższą trzeba czemś wytlómaczyć, usprawiedliwić ją wobec człowieka, który stargał siły całego życia na służbie dworskiej, więc rzekł:

— Najniepotrzebniej ożeniłeś się na starość, mój Maćku!



— Wont! — krzyknął głosem, który nie znosi oporu.

WŁ. JASIŃSKI

Żal ciężki ścisnął serce Kaczora i aż za gardło go chwycił. Chłop zalkał, grad też spłynął mu po brózdach policzków zmarszczonych.

Musiałek z usty otwartymi stał w niejakiem oddaleniu, widocznie wysilał swój umysł na zrozumienie tego, co widział. Nareszcie zrozumiał, poskoczył, ucałował rękę rządcy z temi słowy:

— Ano, to i ja!

Ponieważ oddalano ze służby jego mistrza ukochanego, przeto i on nie chciał służyć.

Jaga wychyliła głowę z drzwi obory, przyglądała się ciekawie i odrazu zrozumiała postępek męża. Wypadła co tchu, usprawiedliwiała przed rządcą zachowanie się skotaka:

— Niechże go też wielmożny pan nie słucha! To chłop okrutnie głupi, sam nie wie, co robi.

I wzięła Musiałka za rękę, choć się opierał, poprowadziła do obory, mówiąc:

— Beze mnie zginąłbyś, niedojdo, na świecie!

Pan rządcą nic a nic nie rozumiał, co to wszystko znaczy, i wcale nie myślał zastanawiać się nad zjawiskiem, którego źródłem była dusza chłopska. Wierzył niezłomnie, że lud nasz jest ciemny, a z rozumowań jego wynikało, że

ten lud będzie o tyle zacy, dzielny i szczęśliwy, o ile się wzniesie do stopnia oświaty, na jakim on, pan rządcą, stoi. Spojrzał na Musiałka ze zdziwieniem, uznał go za głuptasa upośledzonego i odjechał.

Ten głuptas biegał krokiem szybkim po oborze, trzymał się oburącz za głowę, wykrzykiwał:

— O jej jej!

Po raz pierwszy w życiu widział mistrza Macieja płaczącego; ten widok ciągle stał mu przed oczyma, wiercił w mózgu, gryzł w sercu.

Jaga, majstrując około latarni, która w oborze płonęła co noc do świtu, opowiadała o swoich stosunkach z dziedzicem. Trajkotała głosem jednostajnym, a wymawiała z naciskiem tylko wyrazy, świadczące o jej znaczeniu u dworu. Sprawiała wrażenie kury rozgdakanej.

— Sam przez się nie dorobiłbyś się niczego: bo jedno, żeś rozlazły — ciepłe kluski, a powtóre, ten stary chciałby wszystko sobie zagarnąć. Ale Pan Jezus dał ci kobietę, jak należy, która wie, co komu powiedzieć... Pogadałam chwilkę z dziedzicem, i moje jedno słówko miało więcej znaczenia, niż czterdzieści z okładem lat służby Kaczorowej...

— Będę szelmą ostatnią, jeżeli cię nie wykieruję na włodarza!

Właśnie z temi słowy zaświeciła latarnia. Musiałek już był przykucnął w barłogu, wsparł oba łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach, natężył umysł, aby sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego mianowicie wypowiedziano Maciejowi służbę?

Jak raz w chwili największego wysiłku mózgu pochwycił w ucho dobitnie wygłoszone ostatnie słowa Jagi i oświecił się nagle. Skotak wydał z siebie okrzyk dziwny, przypominający czkawkę, albo szczeknięcie psa jednorazowe. Wpatrzył się w żonę, którą oświetlały mdłe promienie latarni, i po raz pierwszy ta baba wydała mu się potworem wstrętnie szpetnym, nienawistnym. Odwrócił głowę, a coś go ciągnęło, ażeby jej się lepiej przyjrzeć, i znowu oczy w nią wlepił. Zawrzał gniewem, uczuł w sobie pragnienie zemsty za krzywdę Macieja.

— Teraz na folwarku ja — pani, a przy mnie tyś pan, ciemięgo!

Jaga zamierzała coś jeszcze powiedzieć, kiedy Musiałek jednym susem skoczył i wpił jej się palcami obu rąk w szyję; przytem wył, czy ryczał tak przeraźliwie, że cielęta ze strachu podskoczyły w zagrodach.

Baba, napadnięta zniecka, gruchnęła na ziemię, i para małżonków, złączona jakby uściskiem nierozzerwalnym, pograżyła się w podściółce. Atoli Jaga niedługo leżała na spodzie: niebawem odzyskała świadomość swej przewagi sił fizycznych, zdjęła z siebie nikłego męża, zmieła w kościstych łapach. Powstała i, ściskając go jakby lekkie zawiniątko, wrzuciła do komórki, przeznaczonej na szpital dla chorych jałówek, a drzwiczki zapała zasuwą.

Musiałek uwięziony zaczął wymawiać wyrazy dłuższe i zaklął:

— Psiakrew!

To miało znaczyć:

— Po kiego dyabła ja się ożeniłem?

Chore jałówki zebrały się dokoła skotaka, lizały go i do snu ukołysały.

Zobaczmy teraz, co się dzieje w czworakach.

Kaczor, bystrzejszy w rozumowaniu, niż Musiałek, odrazu ogarnął umysłem wszystkie zaszele wczoraj i dzisiaj zdarzenia; myślał krótko, a orzekł stanowczo:

— Weronika jest winna, że na starość zostałem bez kawałka chleba. Psiakrew, niech baba poczuje, co to znaczy, niech cierpi, kiej zawiniła!

Z srogim wyrokiem na ustach wszedł do izby, jakby zwycięzca okrutny do kraju podobitego.

— Wont! — krzyknął głosem, który nie znosi ani zwłoki, ani oporu.—Wont!—powtórzył z naciskiem jeszcze większym.

Znać było, że jest gotów uciec się do gwałtu, gdyby żona okazała mu nieuległość.

Maciejowa postanowiła właśnie, po ostatnim zajściu z mężem, unikać wszelkich targów, ulegać i nie gorszyć dzieci.

— Pójdę, pójdę!—odparła z pośpiechem.

Zarzuciła na głowę chustkę, otuliła nią Kasie, wzięła za rękę Jasia, drżącego ze strachu przed gniewnym tatusiem, i tylko w drzwiach przy kropielnicze przystanąła, aby się przeżegnać wodą święconą.

Kaczor nie myślał, że mu żona tak łatwo ustąpi, i dlatego pokora jej tknęła go, udo-bruchała nieco.

— Wygnali mnie ze służby... Sam nie będę miał czem zatkać gęby—mówił, widocznie z zamiarem usprawiedliwienia krzywdy, którą wyrządził rodzinie.

(DN)

ODPOWIEDZI

OD REDAKCYI.

P. F. Ros. 1) Pamiętać należy, że autorem „Satiricon” nie jest dworak Nerona, wprowadzony przez Sienkiewicza do powieści „Quo vadis?”, lecz inny Petroniusz. Wydania tekstu oryginalnego: a) Petronii Satirae et liber Priapaeorum tertium, edidit Franciscus Büchele, Berlin 1895, w księgarni Weidmannsche Buchhandlung, 3 marki; b) Petronii Cena Trimalchionis, edidit L. Friedländer, Lipsk, 1906, 7 marek w oprawie. Tłómaczenia polskie: Ludwika Dębickiego „Uczta Trimalchiona” (wyczerpane) i Ignacego Strycharskiego: „Uczta Trimalchiona”, Lwów, 1908 (odbitka ze Sprawozdań gimnazjum Franciszka Józefa); 2) Data śmierci Caliguli — 41 rok po Chr.; 3) Wzmianka o „Czarodziejskiem wianie” p. Walentego Zielińskiego—w N-rze 8 Tygodnika r. b., adres—Hoża, 64); 4) Premium jeszcze nie jest gotowe; prawo posiadania go będzie przysługiwało prenumeratorom rocznym, lub tym, którzy opłacą roczną prenumeratę w ratach półrocznych lub kwartalnych.

Studentowi medycyny W. S. w Krakowie. Nie zamieścimy.

P. Z. B. w Poti. Nadesłane nam wiersze są zupełnie poprawne, nie stoją jednak jeszcze na wysokości wymagań artystycznych Tygodnika.

Spokojnemu. Drukować nie możemy. Co do skierowania artykułu do innego pisma, prosimy Sz. Pana o wyrażne dyspozycje.

Esperantystycie z Łodzi. 1) Z zagranicznych: Zeitschrift für das Baugewerbe (wydawca: Carl Marhold in Halle am Salle), dwutygodnik; 2) Bau-technische Zeitschrift (wydawca Georg D. W. Callweg, Monachium), tygodnik; 3) Architektonische Rundschau (rocznie 12 zeszytów, wydawca J. Engelhorn w Stuttgarcie), 4) Der Architekt (12 zeszytów rocznie, wychodzi w Wiedniu, wyd. A. Schroll et comp). Z polskich: 1) Architekt. Miesięcznik, poświęcony architekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu (cena roczna rb 10. Kraków, ul. Wolska nr. 14). 2) Przegląd Techniczny. Tygodnik, poświęcony sprawom techniki i przemysłu oraz budownictwu. Cena rb. 12 rocznie (Warszawa, Włodzimirska 3), 3) Przegląd Rzemieślniczy. Tygodnik ilustr., poświęcony sprawom rzemieślniczym (rb. 5 rocznie. Warszawa, Piękna 29).

Stalej Prenumeratore
A. C. E. Zapytanie Sz. Pani wkracza w dziedzinę porad lekarskich, tą drogą przeto odpowiedzieć nie możemy. Byłoby szarlataneryą z naszej strony zalecać środki, o których działaniu może decydować tylko lekarz, i to nie inaczej, jak po bezpośrednim zbadaniu pacyenta. Co się tyczy objawów, o jakich Pani wspomina, mogą one występować po zażyciu środka uniwersalnego rozmaicie, w zależności od danego organizmu. Radzilibyśmy zwrócić się do lekarza, a nie wątpimy, iż w stanie zdrowia Sz. Pani zajdą pomysne zmiany.

A. K. Nie.

Jot. Nie wydrukujemy.

Prenumeratorowi w Petersburgu.

1) Deutsche Schachzeitung (miesięcznik, rb. 6 rocznie); 2) Wiener Schachzeitung (miesięcznik, rb. 5 kop. 30 rocznie); 3) Deutsches Wochenschach (tygodnik, rb. 7 kop. 80). 4) La stratégie, journal d'échecs (miesięcznik, rocznie rb. 10);

5) Szachmatnoje Obozrenje (miesięcznik, rocznie rb. 7 kop. 70). Ceny obliczone z przesyłką pocztową; polskiego czasopisma szachowego niema.

A. T. Sonety są już złożone i tylko czekają kolei.



W KARCZMIE.

— To już w te niedziele wyprawiacie córce sute wesiele?
— A juści... abo co?
— Takie wesiele to pewnikiem będzie moc pieniędzy kosztować?
— A niech kosztuje, co chce, coby ino nie duzo.

NADESŁANE.

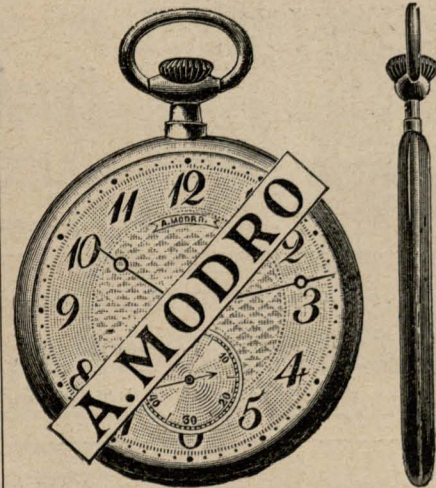
STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}
FABRYKA I MAGAZYN
WSZEKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.

MYDŁO z MŁĘKA LILIOWEGO „KONIK”
BERGMANN i S^{KA}. RADEBEUL · DREZNO
daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd, czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz delikatną, oślepiająco piękną cerę.
Po 50 kop. dostać można wszędzie.
Główny skład na Państwo Rossyjskie:
BIURO CHEMICZNYCH PREPARATÓW
ST. PETERSBURG, Newski 28, dom Singera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.

Sarga
Dostać można wszędzie.
KALODONT
NIEZBĘDNY
KREM DO ZĘBÓW
zbadzany przez urzędy lekarskie.
(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

PATKOWSKIE ORYGINALNE, B. PŁASKIE I W BRANSOLETACH



BUDZIKI KIESZONKOWE NIEZBEDNE DLA LUDZI PUNKTUALNYCH, TOWAR PIĘKNY SOLIDNY GWARANTOWANY. PIERWSZE ŹRÓDŁO! CENY FABRYCZNE.
Warszawa, Marszałkowska 151.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBERTA BERNHARDTA
ordynatora szpitala św Łazarza.
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacya. Choroby weneryczne.

NAJWYTWORNIEJSZ C
PERFUMY BEZ SPIRYTUSU
2 KWIATU „KONWALIA”
F. PROCHASKA PRAGA.

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



Od przeszło 40-stu lat polecana przez lekarzy całego świata jako idealny pokarm — **DLA DZIECI** — i dorosłych chorych na żołądek.

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku, Czekoladę **Mleczną-Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.
G. G. LARDELLI
Boduena 5. Nowy-Swiat 27.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

P. Sedecrem. Żadnej specjalnie firmy nie reklamujemy, lecz wyroby nieszkodliwe, a głównie skuteczne i wypróbowane. Dlatego zalecamy mydła *Karpińskiego*, że on jeden wyrabia mydła *neutralne*, stanowczo wyróżniające się z pomiędzy wszelkich higienicznych mydeł. Następnie, jeżeli mydło *Tataro-Chmielowe* na łupież nie pomogło, trzeba użyć po umyciu głowy tem mydłem *Esencji Tataro-Chmielowej* Centralnego Laboratorium Chemicznego, po użyciu jednej lub dwóch flaszek skutek niezawodny. Na przyszczyki na twarzy niech pan spróbuje środka wewnętrznego, co jest rzeczą doktora. Cerę wybieli przy dłuższym użyciu *Abarid*.

Strapionej. Wągry, w postaci czarnych punkcików, wymywa skutecznie *Pureol*. Wyciskać nie trzeba, wanna parowa, specjalnie do twarzy zastosowana, w tych wypadkach jest niezbędna. Błyszcząca skórę matuje *Baume de Bouleau Ponsarda*.

Zasmuconej. Piegi usunie krem *Dra Orgley*, myć się mydłem *Neutralnem*. Jeżeli skóra bardzo wrażliwa i krem ją zbyt zaczerwieni, pokryć przedtem lekko warstwą wazeliny. *Eccelsior* brwi jasne pociemni, o ile są włosy na brwiach, gdyż płyn ten ciała nie barwi, raz jednak podciemnione zatrzymają kolor przez parę tygodni, rzęsów nie można.

Maryi brzydkiej i Czesławie. Za porady nic się nie płaci. Włosy z twarzy i rąk usunie *Depilatoire Dorina* lub *Mono*.

Karolinie. Dziś wszelkie kremy zdystansował *Abarid*, który nie tylko wybiela naturalnie skórę, ale odżywia muskuły twarzy i nie dopuszcza do tworzenia się zmarszczek. Wszystkie specyfiki, zalecane przez nas, wysyła pocztą perfumerya *Perfection*, Szpitalna 10.

Czytelniczce z Nowogrodzkiego. O ile przyszczyki na twarzy nie są egzemą, spróbować obmywanie wodą letnią, zakwaszoną sokiem cytrynowym.

Mercédès.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra Ludwika Chybczyńskiego
Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

KARPIŃSKIEGO
KREM OGÓRKOWY MATOWY
Cena 60 kop.
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne
Fr. Karpińskiego
w Warszawie Elekoralna 35. Telefon 600.
Zadać wszędzie.

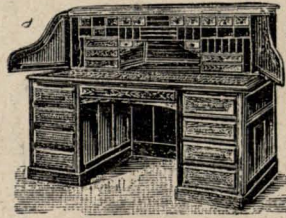


Kursa Handlowe S. ROGULSKIEGO

Marszałkowska 136.

I. Roczne żeńskie

II. Półroczne męskie i żeńskie.



KOMPLETNE
Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŚER
Warszawa, Mazowiecka 10.



Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

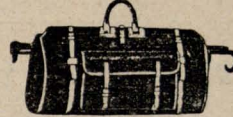
Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3.

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

L. Lipiński { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. }
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, }

Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuterya złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOSCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE **Nr 15** Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Gebethner i Wolff

W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA
MIODOWA № 7
poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

KLAWIOL na odciski —świetny!
Apteka Kowalskiego, Graniczna 10 i wszędzie.

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ
Choroby dróg moczowych. Oświetlenie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5—7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,
KRAK.-PRZED. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

PATENTY
NA
WYNAZKI
Włodarkiewicz
i Sieklucki
Włodzimierska 16,
Egz. od 1886 r.